ROBIN WELLS

Brzydula

Tytuł oryginału:
Plain Jane Gets Her Man

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Gdzie jest mój tatko?

No właśnie, pomyślała Sara Anderson, wkładając głębiej na nos okulary w szylkretowych oprawkach i spoglądając po raz kolejny na wiszący na ścianie duży zegar. Przedszkole zakończyło pracę przeszło godzinę temu.

- Na pewno zaraz tu będzie. Chcesz chrupkę, Nikki?

Czteroletnia dziewczynka pokręciła głową. Jej jasne, puszyste włosy rozsypały się na wszystkie strony jak dmuchawiec. Drżała jej broda.

- Chcę do taty.

Sara uklękła i objęła małą. Był to jej pierwszy dzień w przedszkolu, długi, męczący. Trzeba było znaleźć coś, co by ją zabawiło.

- Założę się, że już tu jedzie, Skarbie. Zrobimy mu niespodziewajkę?

- Jaką niespodziewajkę?

- Kolaż.

- Pana na rowerze?

- Nie - uśmiechnęła się Sara. - Kolaż to taki obrazek z obrazków. Poszukamy w pismach zdjęć tego, co robiłaś dzisiaj, powycinamy je i zrobimy wyklejankę. Tym sposobem tatuś dowie się, jak spędziłaś dzień.

Nikki popatrzyła na swoją opiekunkę z namysłem, jakby

wahała się co lepsze - rozpłakać się, czy przyjąć propozycję. W końcu kiwnęła główką. Z westchnieniem ulgi Sara zgromadziła niezbędne przybory i zaprowadziła dziewczynkę do pracowni plastycznej. Ledwie zdążyła wsunąć kasetę z piosenkami do magnetofonu i upewnić się, czy Nikki umie bezpiecznie posługiwać się nożyczkami o zaokrąglonych czubkach, gdy zabrzęczały dzwoneczki nad drzwiami.

Podniosła wzrok, spodziewając się mężczyzny, który rano zapisywał do przedszkola swoją córeczkę, lecz zamiast wysokiego, postawnego kowboja, zobaczyła w drzwiach korpulentną sylwetkę Deb Kloster. Deb była jej najlepszą przyjaciółką, a zarazem współpracownicą. Nie chcąc, żeby dziecko słyszało ich rozmowę, przeszła z nią od razu do maleńkiej ciemnej kuchni.

- Masz dziś wolny dzień. Co tutaj robisz?

- Chciałam właśnie zapytać cię o to samo. - Deb znacząco spojrzała na zegar. - Zauważyłam twój samochodzik przed budynkiem, więc postanowiłam wejść, żeby się dowiedzieć, czemucię nie będzie na zebraniu naszego koła. - Z dezaprobatą pokręciła głową. - Jeśli będziesz tu siedzieć całymi dniami, to nigdy, nikogo ciekawego nie poznasz.

Sara wciągnęła powietrze. Deb bezustannie nakłaniała ją do zawierania znajomości i zaczynało ją to już męczyć. Ma dobre intencje, pomyślała, odgarniając kosmyk włosów z twarzy. Nie trzeba się irytować. Przeżyła dwadzieścia lat w udanym małżeństwie i życzyła jej podobnego szczęścia. Sara jednak nie podzielała optymizmu starszej koleżanki. Oceniała swoje szanse nader nisko. Wiedziała, czego najczęściej mężczyzna szuka w kobiecie, a lusterko mówiło, że ona tego czegoś nie ma. Z tą prawdą musiała się zmierzyć już dawno. Była pospolita, zwykła

jak powszedni czerstwy chleb, a w dodatku, kiedy usiłowała zrobić na kimś dobre wrażenie, czerwieniła się i zapominała języka w buzi. Nie polepszało to sytuacji. O flircie miała pojęcie nie większe niż na przykład o lataniu. Poza tym w teksańskim Oak Grove, mieścinie liczącej nie więcej niż sześć tysięcy mieszkańców, nie było zbyt wielu mężczyzn nadających się na męża.
Ściślej mówiąc: kawalerów około trzydziestki, do której właśnie sama niestety już dobijała.

Tak czy owak, zgodziła się pójść za radą Deb i dziś wieczorem miała wybrać się na zebranie ochotniczego koła pomocy. Nie wiązała z tym żadnych nadziei na poznanie tego jedynego i odpowiedniego pana X, lecz chciała się włączyć w jakąś wartościową działalność, którą wypełniłaby puste wieczory i weekendy. Czuła się zawsze najszczęśliwsza, gdy mogła być pożyteczna. Uwielbiała robić małe przysługi znajomym i sąsiadom, ale nie wypełniały one całego wolnego czasu. Miała go wciąż za dużo. Od śmierci babki, rok temu, była zupełnie sama i samotność doskwierała jej coraz bardziej. Teraz jednak sprawy osobiste musiały zejść na dalszy plan. Ruchem głowy wskazała dziewczynkę w salce obok.

- Mamy nową. Ojciec miał ją odebrać o piątej, ale jakoś się nie zjawia. Zaczynam się niepokoić.

Deb nastroszyła brwi.

- Podał, kogo należy w razie czego powiadomić? Jakiś numer telefonu, nazwisko?

Sara wzięła do ręki kartę, którą tato Nikki wypełnił rano, i wyjrzała zza rozsuwanych drzwi, żeby rzucić okiem na dziecko. Z magnetofonu dobiegała głośna piosenka o gumie balonowej, lecz mimo to ściszyła głos.

- Nie. Powiedział, że dopiero co się sprowadził i nikogo tu

jeszcze nie zna. Jest samotnym ojcem. Kupił ranczo po starym Murphym.

- Dzwoniłaś do niego?

- Kilkanaście razy i zawsze nagrywałam się na automat.

- Jak on się nazywa?

- Jake Masters.

- Sprawdzę, czy nie mają go w szpitalu stanowym, a potem dzwonię na policję - zdecydowała Deb.

- Nie! Na policję nie. Zabiorą małą do pogotowia opiekuńczego, powiadomią urząd do spraw dzieci i wystraszą ją na śmierć.

- Jest prawie wpół do ósmej. Trzeba coś zrobić.

Sara zerknęła na Nikki, która z zapałem wycinała obrazek z kolorowego czasopisma. Nie. Nie potrafiłaby oddać tej maleńkiej w ręce jakichś tam władz. Przez pół nocy wypytywano by ją i przesyłano z miejsca na miejsce.

- Może jej ojciec zachorował? Albo coś mu się stało...

- Albo po prostu zaniedbuje swoje dziecko. A może nawet je porzucił.

- Nie sądzę... Na pewno nie.

Deb pokiwała głową.

- Wiem, wiem... Nie chcesz przyjąć do wiadomości, że ludzie bywają źli, ale wierz mi, to się zdarza. Tyle że w Oak Grove nie spotykamy się z tym zbyt często.

- Chwała Bogu - wymamrotała Sara.

Deb pracowała kiedyś w przedszkolu dla biedoty w Dallas i była świadkiem niewyobrażalnych wprost scen i sytuacji. Od samego słuchania chciało się płakać.

- Nic nie wiemy o tym człowieku - ciągnęła Deb; - Masz pewność, że rzeczywiście tu mieszka i że to jest jego córka?

- Bez wątpienia. Mają takie same oczy... Poza tym automatyczna sekretarka odzywa się jego głosem.

- A jak ten facet wygląda, pamiętasz?

Jak marzenie, pomyślała Sara, ale ugryzła się w język. To nie była pora na zwierzenia i nie czas, żeby opowiadać przyjaciółce, jakie wrażenie zrobił na niej rano. Gdyby o tym opowiedziała, Deb zaczęłaby od razu snuć domysły. A przecież ten ranczer był zdecydowanie nie w jej typie. Co prawda nie umiałaby określić, jaki typ mężczyzny najbardziej jej odpowiadał, ale jeśli nawet by potrafiła, to z pewnością nie ten.

Masters przede wszystkim był stanowczo za przystojny. Jak wynikało z jej doświadczenia, przystojni mężczyźni byli zazwyczaj ludźmi bez charakteru. Być może, myślała, nie ma w tym nawet ich winy, że stawali się powierzchowni i puści. Z biegiem lat uczyli się po prostu cenić to, co ceniono w nich. A jeśli nawet miałoby się okazać, że i przystojniak potrafi być jako tako przyzwoitym człowiekiem, to i tak fakt pozostawał faktem: urodziwych mężczyzn pociągały urodziwe kobiety.

Jake Masters był zresztą tego ranka tak zaabsorbowany córką, że w ogóle nie zwrócił na nią uwagi; a Sara miała swoje żelazne zasady. Nigdy, przenigdy nie pozwoliłaby sobie okazać choćby cienia zainteresowania mężczyźnie, jeśli nie zainteresowałby się nią pierwszy, i to wyraźnie. Nigdy, przenigdy - nawet gdyby miała przeżyć tysiąc lat - nie zrobiłaby z siebie idiotki z powodu mężczyzny. Tak czy owak, nigdy więcej...

- No, jak? Pamiętasz?

Wzruszyła ramionami.

- Wysoki. Ciemna karnacja, ciemne włosy, piwne oczy. - Wychyliła się za drzwi, żeby spojrzeć na dziewczynkę. - Od-

niosłam wrażenie, że bardzo kocha to dziecko. A Nikki dosłownie szaleje za nim. Ciągle tylko: tatko i tatko.

- Z dziećmi tak zawsze. Są przywiązane do rodziców, nawet wtedy gdy to potwory. Sama o tym wiesz.

Deb miała rację. To, że Jake Masters wyglądał sympatycznie, niczego nie przesądzało. Pozory często mylą. Zdążyła się już o tym przekonać. Zresztą to, czy był dobrym ojcem, czy też nieodpowiedzialnym lekkoduchem, niczego nie zmieniało. Sara w ogóle lubiła dzieci, ale Nikki zawojowała ją zupełnie. Zauważyła w niej niecodzienną refleksyjność i potrzebę emocjonalnej więzi z opiekunem. Była więc absolutnie zdecydowana wyczerpać wszelkie możliwości, żeby tylko nie narażać jej na niepotrzebny strach.

- Zostawmy na razie wątpliwości - powiedziała łagodnie. - Byłabym wdzięczna, gdybyś skontaktowała się ze szpitalem. Jeśli Mastersa tam nie ma, to może zostałabyś z Nikki... Pojadę na ranczo.

- Sama? W żadnym wypadku! - Deb wyraźnie nie podobał się ten pomysł. - To nie jest bezpieczne. Facet może być pijany. Kto wie, może to w ogóle jakiś wariat albo robi coś nielegalnie... - Pokręciła głową. - Czasami przesadzasz z tą dobrocią. Nie wyjdzie ci to na zdrowie.

Była w takim wieku, że mogłaby być jej matką i czasem zachowywała się tak, jakby nią była. Tego matkowania starczyłoby Sarze na dwa życia.

- Nic mi nie będzie. Przypilnujesz dziecka, czy mam dzwonić po Maureen? - zapytała niecierpliwie, myśląc o jednej z przedszkolanek.

Deb westchnęła ciężko.

- Zostanę. Ale myślę, że to nie najlepszy pomysł, żebyś

jechała tam sama. Posłałabym Harry'ego, ale jest teraz w Dallas. Wyjechał w interesach i wróci dopiero jutro. - Zerknęła na Sarę z ożywieniem. - A może poprosisz Willa? Na pewno zechce ci towarzyszyć...

Sara skrzywiła się. Will O'Shea:.. Mruk, któremu cuchnęło z ust. Tak w ogóle porządny facet, tylko że naprzykrzał się jej jak komar i robiła wszystko, żeby go do siebie zniechęcić. Gdyby teraz poprosiła go o pomoc, zacząłby się jeszcze bardziej starać.

- Nic mi się nie stanie - powtórzyła, wychodząc z kuchni. Kiedy podeszła do Nikki, dziewczynka podniosła oczy znad wyklejanki.

- Myślisz, że tatko odszedł, żeby być z mamusią?

Sara ściągnęła brwi. Takie rozwiązanie w ogóle nie przyszło jej do głowy.

- Nie wiem, skarbie. A gdzie jest twoja mamusia?

- W niebie. Tatko mówi, że jest teraz najpiękniejszym aniołem.

Sarę aż ścisnęło w gardle.

- Moja mamusia była królową piękności. Nosiła koronę. Tatko opowiadał mi, że była najładniejszą dziewczyną na świecie.

- W takim razie musiałyście być do siebie bardzo podobne - powiedziała miękko Sara. Ze swoją buzią cherubinka, wygiętymi usteczkami i masą jasnych loczków, Nikki wyglądała jak z obrazka na słodkiej walentynkowej pocztówce.

- Pani też jest bardzo ładna - stwierdziła poważnie.

Sara uklękła i dziękując ze wzruszeniem za komplement, objęła dziewczynkę. W małych dzieciach, myślała, cudowne jest między innymi to, że zrównują dobroć z urodą. To pewne,

że nikomu, kto przekroczył dziesiąty rok życia, nie wydałaby się ładna. Miała zbyt pociągłą twarz, za proste, mysiego koloru włosy, rysy bez jakiegoś szczególnego wyrazu. Udały się jej jedynie zęby, gładka, czysta cera i przylegające płasko do głowy uszy. Za mało, żeby stawać w szranki z królową piękności.

- Myślisz, że tatko jest z mamą? - powtórzyła Nikki.

Nad opiekuńczymi uczuciami Sary wziął naglę górę gniew na ojca dziewczynki. Będzie się musiał zdrowo tłumaczyć i lepiej, żeby to nie były czcze wykręty! Jak można tak martwić własne dziecko! Opanowała złość i zmusiła się do uśmiechu.

- Powiem ci, co myślę. Myślę, że twój tatuś niedługo tu będzie. Pewnie popsuł mu się samochód albo ma jakiś inny mały problem. Jak tylko go rozwiąże, zaraz po ciebie przyjedzie. No, pokaż, co tam powycinałaś. Przy kleimy obrazki, a potem przedstawię cię mojej przyjaciółce, pani Deb. Pomożesz mi zrobić kanapki z masłem orzechowym? Jestem głodna; Założę się, że ty też.

Trzy kwadranse później skręciła swoim małym samochodzikiem w polny trakt, prowadzący do rancza Murphy'ego. Przednie światła wydobyły z mroku złowróżbnie wyglądające wejście - prostą, żelazną bramę, która przypominała bardziej bramkę z boiska niż bramę. Tylko u góry kołysał się znak starego Murphy'ego - koło z wielką literą M.

Jake Masters nie będzie musiał nawet zmieniać emblematu, pomyślała. Ciekawe, czy i w całe to ranczerskie bytowanie wpasuje się tak bezboleśnie. Prowadzenie rancza to ciężka praca, często niewdzięczna, nieopłacalna i wyniszczająca. Mógł jej podołać jedynie człowiek bardzo określonego typu - uparty, o silnej woli, samotnik. Jake Masters, przynajmniej z wyglądu,

nie miał z kimś takim wiele wspólnego. Tego rodzaju praca nie pociągała zazwyczaj mężczyzn o urodzie gwiazdora filmowego.

Ale to naprawdę nie moja sprawa, przywołała się do porządku. Przyjechała tutaj sprawdzić, czy nie stało się nic złego, a nie po to, żeby osądzać kwalifikacje Mastersa do prowadzenia rancza. Kiedy wjechała wolno przez bramę, zachrzęścił piach. Koła grzęzły w nim, lecz nie rozwijała prędkości nie tylko ze względu na fatalny stan dojazdu, ale również dlatego, że nie bardzo wiedziała, co robić. Był koniec maja. Na niebie błyszczał półksiężyc. Czego tu szukać po nocy? Co się jej ubzdurało? Może Deb rzeczywiście miała rację. Może ta wyprawa nie miała sensu... Może to było szukanie wiatru w polu albo coś jeszcze głupszego... Wróciła na moment myślami do jasnowłosej dziewczynki, którą zostawiła śpiącą na macie, i zacisnęła mocniej dłonie na kierownicy. Nie wolno się cofać!

Kiedy wprowadziła samochód na wzgórze, zobaczyła duży, całkowicie zaciemniony dom. Na werandzie ani w żadnym z okien nie świeciło się dosłownie nic, ale na podjeździe stała półciężarówka. Zaparkowała za nią, wyłączyła silnik i wysiadła.

W nocnej ciszy drzwi trzasnęły nienaturalnie głośno.

- Panie Masters! - zawołała, ale odpowiedziały jej jedynie rzekotki z traw.

Pełna najgorszych przeczuć, jakimi zaraziła ją Deb, zebrała w sobie całą odwagę, weszła po schodkach na drewnianą werandę, biegnącą wzdłuż frontu piętrowego budynku, i zapukała. Cisza. Z wahaniem nacisnęła klamkę, a gdy okazało się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, poczuła szybsze pulsowanie krwi. Może Mastersowi coś się stało - może potknął się na schodach, pośliznął się pod prysznicem, może... Wypadki najczęściej zdarzają się w domu. Tak czy owak, trudno jej było

sobie wyobrazić, żeby ten wysoki, silny mężczyzna mógł się przewrócić czy potknąć. Wyobraźnia podsuwała jej za to inne wstrząsające obrazy. Oto Masters, nagi jak go Pan Bóg stworzył, napina opalone ramiona - błyszczące w świetle świecy – porywa ją na ręce i zanosi na ogromne łoże, przykryte czarną, satynową narzutą. Nagle poczuła, że pałają policzki. Do licha! Skąd u niej takie myśli? Chyba zaangażowała się w całą tę sprawę bardziej, niż to sobie uświadamiała. Nigdy dotąd nie fantazjowała erotycznie, zwłaszcza o kimś, kogo dopiero poznała. Kto był dla niej absolutnie nieosiągalny. Kto - na Boga! - był ojcem jednej z jej podopiecznych! Odetchnęła głęboko.

- Panie Masters! - zawołała jeszcze raz, popychając drzwi.

Namacała kontakt i zapaliła światło. Zobaczyła trochę mebli i mnóstwo częściowo rozpakowanych pudeł. Przeszła się szybko po całym parterze, zaglądając do wszystkich pokojów, po czym weszła na górę. W sypialni pana domu stały dwie walizki, kilkanaście pudeł, biurko, komoda z szufladami i duże stylowe tremo. Na podłodze rozłożony był olbrzymi materac, zasłany - co odnotowała z ulgą - zwykłym białym prześcieradłem. Nigdzie nie było też świecy!

Kiedy otworzyła drzwi ostatniego pokoju, zatrzymała się w progu. Nie było tu pudeł ani bałaganu. Wnętrze było starannie umeblowane. Przy ścianie stał tapczanik nakryty narzutą z wyhaftowanym na niej Kopciuszkiem, a naprzeciwko znajdowało się biureczko i kącik do zabawy ze stolikiem i krzesłami dostosowanymi do wzrostu dziecka. Na ścianie wisiały obrazki przedstawiające tancerki, a półka pełna była zabawek; puzzli i kolorowych książeczek.

Pokój Nikki! Jake Masters żył jeszcze na walizkach, ale córeczce urządził wszystko tak jak trzeba.

Człowiek, który zadał sobie tyle trudu, żeby jego dziecko w nowym miejscu czuło się od początku jak w domu, nigdy by go celowo nie opuścił. A w takim razie, gdzie się podział? Przejął ją nagle przeraźliwy strach. Przypomniała sobie pytanie Nikki, czy jej tatuś odszedł, żeby połączyć się z matką, i zadrżała.

Jeśli półciężarówka stojąca na placyku była jego własnością, musiał być gdzieś tutaj, na terenie rancza. Z dziwnym uczuciem, że powinna się spieszyć zbiegła po schodach i wyszła na werandę. W świetle księżyca widać było zarysy zabudowań, gospodarczych przy drodze. Trzeba sprawdzić, zdecydowała, wsiadając do samochodu. Jeśli go tam nie będzie, wezwę policję. Niech mi pomogą w poszukiwaniach, a przy okazji spróbuję ich przekonać, żeby pozwolono mi zaopiekować się Nikki do czasu, aż jej ojciec się odnajdzie.

Kiedy podjechała bliżej stajen, przednie światła wyłowiły na drodze jakiś kształt. Poczuła mocne uderzenie serca i nagłe uświadomiła sobie, że jest to koń. Siodło było przekrzywione, a cugle ciągnęły się po ziemi. Gdy zbliżyła się jeszcze bardziej, koń zniżył łeb i dotknął czegoś, co leżało w trawie. Sara zrozumiała od razu i zaczęła się modlić.

Dobry Boże, proszę, nie pozwól mu umrzeć.

Skierowała długie światła na wskazane przez konia miejsce, nacisnęła na hamulec i otworzyła drzwiczki. Koń zarżał i odbiegł. Wysiadając z samochodu, czuła, że ma miękkie nogi.

- Panie Masters... - Usłyszała swój schrypnięty szept i zmusiła się do postąpienia kilku kroków. Obok wyłaniających się spod ziemi skałek, W trawie, leżał mężczyzna. Był nieruchomy. W samochodowych światłach mogło się wydawać, że w jego pozbawionej koloru twarzy nie ma życia.

Roztrzęsiona, wyciągnęła rękę, żeby namacać mu tętno, i nagle cofnęła się jak oparzona, słysząc jęk. Dzięki Ci, Boże! Żył!

- Panie Masters, czy pan mnie słyszy?

Poruszył głową, jęknął i otworzył oczy.

- Gdzie... co... kto? - wychrypiał.

Zobaczył światło, a zaraz potem czyjeś oczy - najłagodniejsze i najserdeczniejsze, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć.

Przez sekundę miał wrażenie, że ogląda twarz anioła, i przeraził się. Przecież jednak, pomyślał z otuchą, gdybym już,nie żył, nie czułbym rozsadzającego bólu głowy, a aniołowie nie noszą chyba okularów w szylkretowych oprawkach ani ozdobnych spinek we włosach.

Usiłował się podnieść, ale zaraz opadł na ziemię.

- Moja głowa...-syknął.
- Czy coś jeszcze boli?
- Noga. Bark. - Bolało go wszystko.
- Czy może pan nimi poruszać?

Poruszył na próbę kończynami. Gdyby tylko ta głowa przestała na moment boleć! Nie był w stanie zebrać myśli, walczył o pamięć. Przez mgłę i chaos przebiła się tylko jedna myśl:

- Nikki... - Poderwał się i opadł znowu.
- Jest bezpieczna.
- Gdzie ona jest? Pani...
- Nazywam się Sara Anderson. Prowadzę przedszkole, jestem nauczycielką Nikki. Poznaliśmy się dziś rano, pamięta pan? Nikki została w przedszkolu pod opieką mojej koleżanki.

Obmacywała mu czaszkę bardzo delikatnie, a mimo to aż zamrugał, gdy dotknęła zranionego miejsca. Zabolało, jakby przyłożyła mu rozpalone żelazo.

- Ma pan paskudne rozcięcie i ogromnego guza. - Delikatnie pogładziła go po włosach i ten serdeczny gest sprawił, że poczuł się dziwnie spokojny. Spojrzał na nią i odczuł nagle w sercu ciepło, jakim promieniały jej oczy. Była kimś rzeczywistym, czy też urojeniem? Nie nawykł, żeby traktowano go tak serdecznie. Pamiętał bardzo dokładnie irytację swojej macochy, gdy w wieku dziesięciu lat złamał rękę i musiała odwołać brydża. Jego żona reagowała na cudze choroby czy niedyspozycje chyba jeszcze mniej współczująco. Nie potrafił zapomnieć, jaka była rozdrażniona przy pierwszej chorobie Nikki. Nudziło ją siedzenie przy dziecku... Zacisnął powieki, jakby mogło go to odgrodzić od obrazów, które stanęły mu przed oczami. Zabawne, ale bliższych w czasie wydarzeń nie przypominał sobie tak wyraziście. Otworzył oczy i popatrzył na Sarę. Ból głowy zaćmiewał mu wzrok. Z największym wysiłkiem usiłował sobie przypomnieć ich poranną rozmowę. Prosiła, żeby wypełnił jakieś dokumenty, a potem skupiła się na dziecku. Zapamiętał, że spodobał mu się sposób, w jaki ośmielała Nikki, ale z jej wyglądu prawie nic nie zapamiętał. Wydała mu się raczej mdła, bez wyrazu. Nie był zresztą pewien, czy to była ona. Jeśli tak, to jak mógł uznać osobę o takich oczach za mdłą?! Niemożliwe!

- Ma pan zakrwawione ramię. Obejrzę je, dobrze? Chłodne palce szybko i delikatnie rozpięły mu przód koszuli.

Usłyszał, że wstrzymała oddech, i zacisnął zęby, przygotowany na najgorsze.

- Bardzo to źle wygląda?

- Rana... rana jest chyba powierzchowna, ale wokół zrobił się wielki siniak... - Mówiła zdyszanym głosem, unikając jego oczu. Przesunęła się i poczuł jej ręce nisko, na swojej prawej nodze. Wsparł się na łokciu, obserwując, jak ogląda mu łydkę.

- Wygląda na to, że i noga jest poharatana. Dżinsy są porozdzierane, ale muszę nadpruć je jeszcze, żeby zobaczyć, co dzieje się wyżej... - Kiedy pociągnęła materiał, Jake zacisnął zęby. Brwi nad okularami zbiegły się. - Trzeba będzie pojechać do szpitala. Jeśli zdołałby pan zdjąć z siebie koszulę, owinęłabym nią nogę, żeby zatamować krwawienie.

- Muszę odebrać Nikki...

- Czy mógłby pan usiąść?

Zdobył się na to z najwyższym wysiłkiem. Chłodne nocne powietrze owionęło mu pierś, gdy ściągnęła koszulę. Kiedy przewiązała ją mocno nad raną, przygryzł z bólu wargi.

- Czy da pan radę wstać? - Patrzyła na niego z niepokojem.

- Jeśli tak, to proszę się na mnie wesprzeć. Pomogę panu wsiąść do samochodu.

Wspieranie się na kimkolwiek, a zwłaszcza na kobiecie, było czymś przeciwnym naturze Jake'a. Kobiety, które znał, podparłyby mężczyznę chyba tylko po to, żeby w głębi duszy radować się jego upadkiem. Wyglądał tak niezdecydowanie, że Sara wzięła to za zwątpienie.

- Może pójdę zadzwonić po karetkę. Przyjechałaby za pół godziny, ale...

- Wstanę.

- Podprowadzę samochód bliżej.

Po chwili przednie światła rozjarzyły się oślepiająco i zatrzymały o kilka kroków od miejsca, w którym siedział. Zamknął oczy przed mocnym światłem, usłyszał trzaśniecie drzwiczek i poczuł, że ta kobieta znowu jest przy nim.

- Gotowy?

Mruknął i dźwignął się do góry. Ból w nodze sprawił, że perlisty pot wystąpił mu na czoło i ugięły się pod nim kolana.

Nim zdążyły odmówić posłuszeństwa, zarzuciła sobie jego rękę na ramiona i objęła go w pasie, taszcząc do samochodu. Wciągnął ustami powietrze, usiłując przezwyciężyć ból, i gdy jej włosy musnęły mu policzek, poczuł delikatny, ziołowy zapach. Nagle uzmysłowił sobie, że od lat nie czuł na swojej twarzy włosów kobiety, że nie obejmowały go kobiece ręce... Odsunęła się na moment i ciepłą miękkość u jego boku zastąpił zimny, twardy metal. Otwierając samochód, oparła go o maskę jak worek z owsem; Święty Boże! Musiało być z nim gorzej, niż sądził.

Chyba naprawdę klepki mi się pomieszały w czasie tego upadku, zadrwił z siebie, wyczuwając bezbłędnie, w jakim kierunku zdążają jego myśli. Po zajściach z Clarissą sądził, że pewien etap w jego życiu jest nieodwołalnie zamknięty, że raz na zawsze skończył z kobietami. Wszystko już przeżył i nie był aż takim durniem, żeby po raz kolejny angażować się w skazany na niepowodzenie związek.

Nie, drogi panie, upomniał się ostro. Nie wpakujesz w to Nikki. Każda znajomość kończyła się wcześniej czy później rozstaniem i zawsze było to dość paskudne. Dzięki Bogu Nikki była za mała, żeby zdawać sobie sprawę, co dzieje się w małżeństwie jej rodziców, i za mała, żeby cokolwiek zapamiętać.

Pewni ludzie po prostu nie są stworzeni do miłości i małżeństwa i pogodził się już z faktem, że jest jednym z nich. Był prawdopodobnie genetycznie skazany na niepowodzenie. Jego ojcu szczęściło się z kobietami jeszcze gorzej.

- No, to jesteśmy - powiedziała, taszcząc go na siedzenie. Oparł się mocno, wyczerpany wysiłkiem. Był taki zmęczony... taki senny... Przez moment miał uczucie, że płynie, po czym uświadomił sobie, że podniosła mu zwisające nogi i przeniosła

do samochodu. Do diaska! Był słaby jak nowo narodzone kocię, ale na tyle przytomny, żeby wiedzieć jasno, że to wszystko bardzo mu się nie podoba. Nie lubił zależności, a szczególnie nie odpowiadało mu uzależnienie od kobiety, która pachniała tak ładnie, miała oczy jak anioł i wzbudzała w nim emocje, o jakich pragnął zapomnieć.

Kiedy usiadła za kierownicą, spróbował się dźwignąć i zachować po męsku.

- Dziękuję. Masz przeze mnie kłopot... - Czy mu się wydawało, czy też wypowiedział te kilka słów bełkotliwie? Język mu skołowaciał, był jakiś obrzmiały, ciężki... - Jeśli zechciałabyś mnie podwieźć do waszego przedszkola, odebrałbym tylko moją dziewczynkę i znikam.

Ćmiło mu się w oczach, ale odniósł wrażenie, że spojrzała na niego z niepotrzebnym rozbawieniem.

- Trzeba będzie najpierw zatroszczyć się o siebie, nim zajmie się pan córeczką. - Włączyła silnik. - Jedziemy do szpitala.

Nie był w stanie wysłowić sprzeciwu.

- Nikki ma się dobrze, naprawdę - zapewniła go łagodnie. Uczepiwszy się tej myśli, zamknął oczy i zapadł w głęboką ciemność, do której ból nie miał dostępu.

W izbie przyjęć oddziału nagłych wypadków siwowłosy lekarz zaczął oględziny głowy Jake'a.

- Poczekam na korytarzu. - Sara wycofała się do drzwi. Lekarz zerknął na nią.

- Nie musi pani wychodzić. Po badaniu chciałbym zadać pani kilka pytań,

- Ale...

Spojrzał na nią znad okularów i uśmiechnął się.

- Przyrzekam, że jeśli będę musiał go całkiem rozebrać, to panią o tym uprzedzę.

Sara przełknęła ślinę i uśmiechnęła się słabo. Od chwili gdy rozpięła Mastersowi koszulę, żeby obejrzeć rozcięte ramię, coś się z nią działo. Ilekroć spojrzała na jego muskularną pierś czy płaski brzuch, tylekroć czuła mocniejsze pulsowanie krwi. Widok półnagiego mężczyzny nie był dla niej czymś zwyczajnym. Co prawda, miała kiedyś narzeczonego, ale Dave nigdy nie robił na niej aż takiego wrażenia. Był chudy, bladawy... Na jego widok nie robiło się jej na przemian zimno i gorąco, nie rozpalał jej wyobraźni. Nie zastanawiała się, tak jak teraz, jak by to było, gdyby jej dotykał, gdyby poczuła na sobie jego ciężar.

Z wypiekami na twarzy usiadła na krzesełku w kącie i nerwowo bębniła palcami.

- Co się stało? - zapytał lekarz, oglądając Jake'owi oczy.

- Głupi wypadek... Wąż wystraszył mi konia i spadłem.

Na samo słowo „wąż" Sara dostała gęsiej skórki. Nie znosiła tych stworzeń. W jej wspomnieniach wiązały się zawsze z uczuciem wstydu, upokorzenia i... Poczuła, że ogarniają panika, lecz siłą woli nakazała sobie spokój.

- Został pan ukąszony?

- Nie. Chyba nie...

- Na wszelki wypadek przebadamy pana dokładnie.

Uświadomiła sobie nagle, że znowu gapi się zachłannie na Jake'a, i odwróciła oczy, ale tylko na chwilę. Jak zahipnotyzowana przyglądała się, jak lekarz naciska i rozciąga twarde mięśnie jego brzucha, szukając obrażeń.

- Mówi pani, że zasnął w drodze do, szpitala?

Drgnęła i przeniosła wzrok na lekarza.

- Owszem.

Doktor poprawił okulary.

- Pan Masters doznał prawdopodobnie wstrząsu mózgu. Zaraz zrobimy rentgen. Rana na nodze wymaga zszycia. Prześwietlimy bark, ale złamania chyba nie ma. Tak czy owak, położymy pana na kilka dni u nas, a później będzie się pan musiał kurować w domu.

Jake uniósł się na łokciu.

- Ale... Doktorze, ja nie mogę zostać w szpitalu. Mam czteroletnią córkę i robotę na ranczu.

- Obawiam się, że nie mamy wyboru. Nieźle się pan potłukł. Głowa powinna przestać boleć w ciągu kilku dni, ale trzeba się będzie bardzo oszczędzać. Poza tym noga jest niesprawna, a z barkiem w tym stanie trudno panu będzie poruszać się o kulach;

Zajmowanie się dzieckiem to ciężka praca nawet dla zdrowego człowieka, pomyślała ze współczuciem. Jak on sobie poradzi taki schorowany?

- Masz jakąś rodzinę czy przyjaciół, do których powinnam zatelefonować? – zapytała.

Opadł ciężko na kozetkę.

- Nie ma nikogo, kto mógłby zająć się Nikki. Nie mam rodziny. Przyjaciół, tutaj, też nie. Dopiero co przeprowadziłem się z Amarillo... - Zamknął oczy, jakby wyczerpywało go już samo mówienie. - Dałem w lokalnej prasie ogłoszenie, że poszukuję gospodyni, ale ukaże się ono dopiero w przyszłym tygodniu.

Lekarz zmarszczył czoło i potarł brodę.

- Mogę panu dać namiary kilku agencji. Wynajmie pan sobie opiekunkę. Do dzieci też, zdaje się, tam kogoś mają. To może jednak sporo kosztować. Niektórzy moi pacjenci byli z

nich niespecjalnie zadowoleni. Na pana miejscu zatrudniłbym jakąś kobietę stąd.

- Czy mógłby mi pan kogoś polecić?

Lekarz pokręcił głową. Sara spontanicznie poderwała się z krzesła.

- Ja... Ja zajmę się Nikki.

Jake wstrzymał oddech. Zawdzięczał tej kobiecie już sporo, a nie cierpiał być czyimś dłużnikiem. Z drugiej strony, była licencjonowaną opiekunką, pracowała w przedszkolu, a kogoś takiego trudno by było znaleźć poprzez agencję. Poza tym Nikki już ją znała. Biedna dziecina, pomyślał z poczuciem winy. Nie zdążyła nawet przyzwyczaić się do nowych warunków po przeprowadzce, a teraz czeka ją kolejne trzęsienie ziemi.

Westchnął ciężko. Zdecydowanie mu to nie odpowiadało, ale czuł, że ze względu na Nikki powinien przyjąć propozycję tej przedszkolanki. Nie za darmo jednak. Zapłaciłby jej jak każdej normalnie zatrudnionej osobie. Kiwnął głową i natychmiast rozbolała go jeszcze bardziej.

- Dziękuję. - Nawet w jego własnych uszach zabrzmiało to ponuro. - Zapłacę dobrze.

- Porozmawiamy o tym później. Odpocznij teraz i nie martw się o Nikki. Jest naprawdę w dobrych rękach.

W tonie jej głosu nie znalazł cienia przechwałki. Poczuł się dziwnie spokojny.

- Jakie sprawy powinnam załatwić na ranczu?

Ranczo. Prawda, ranczo. Miał uczucie, jakby zamiast mózgu, jego czaszkę wypełniała bezkształtna, skłębiona masa. Z trudem wysnuł z niej jedną niteczkę myśli.

- Rano, tak, rano zatrudniłem dwóch pracowników. Ich nazwiska i numery telefonu są w mojej kieszeni. Czy mogłabyś

do nich zadzwonić i poprosić, żeby zajęli się wszystkim przez kilka dni? Pracowali u starego Murphy'ego, więc będą wiedzieli, co i jak.

- Oczywiście, że zadzwonię...-: Zastanowiła się przez moment. - Wiesz, myślę, że Nikki łatwiej zniosłaby całą tę sytuację, gdybyśmy mieszkały u was, a nie u mnie. Byłaby przynajmniej w domu.

Miał już znowu kiwnąć głową, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał.

- Bardzo mądrze to wymyśliłaś, jak zresztą wszystko. Dziękuję. W domu panuje bałagan, ale pokoik Nikki jest urządzony.

Lekarz przyjrzał się Sarze.

- Gdyby mógł pan namówić tę młodą damę, żeby została na parę tygodni po pańskim wyjściu ze szpitala, dałoby się upiec dwie pieczenie - zażartował. Ktoś musi panu ugotować, trochę sprzątnąć… Bez pomocy trudno będzie odzyskać siły.

Tym razem to Sara się zawahała. Co innego zajmować się dzieckiem, a co innego opieka nad mężczyzną. Szczególnie takim, który zupełnie ją rozstrajał. To prawda, ale... Przecież nie ma nikogo, myślała poruszona. Wiedziała, co znaczy być samotnym - nie mieć przyjaciół, czuć się zagubionym. Tak czuła się przez całą szkołę średnią, a także w czasie nauki w college'u. Wszyscy umawiali się na imprezy, na randki, mieli bogate weekendowe plany, a ona nie miała nic oprócz straszliwej, ogłupiającej nieśmiałości. I tak też - poza godzinami pracy w przedszkolu - czuła się obecnie.

Z całą pewnością powinna pomóc temu biednemu człowiekowi. Była mu potrzebna, a nigdy nie opuściłaby nikogo w potrzebie. Co złego mogło się jej stać? A zresztą... był teraz chory, bezradny jak dziecko. Zerknęła w jego stronę i poczuła, że na

gle wyschły jej usta. Jake Masters nie wyglądał bezradnie. Przeciwnie. Był silny, bardzo męski i... niebezpieczny. Nonsens! Niebezpieczny mógłby być wtedy, gdyby mu się podobała, a miała naprawdę niewielkie szanse, żeby zostać Miss Ameryki. Mężczyzna o jego urodzie przygruchałby sobie najwspanialszą kobietę szybciej, niż Nikki zdążyłaby zjeść torebkę cukierków.

Doprawdy ponosiła ją wyobraźnia. Zaproponowała już, że pomoże mu przy Nikki, a najlepsze, co mogła zrobić dla tego dziecka, to pomóc jego ojcu stanąć na nogi. Poza tym i tak szukała czegoś, czym dałoby się sensownie wypełnić wolny czas, a Deb namawiała ją, żeby wzięła trochę urlopu. Nie zdecydowała się do tej pory tylko dlatego, że nie chciała mieć tego czasu jeszcze więcej.

Pospiesznie rozważała wszystkie za i przeciw. W okresie lata w przedszkolu było niewiele dzieci. Mogła bez problemu zwolnić się na tydzień lub dwa, a potem - do czasu aż Jake wyzdrowieje - jeździć do pracy tylko na przedpołudnia.

- Mój rozkład zajęć jest dość elastyczny - powiedziała, szybko podejmując decyzję. - Będę szczęśliwa, jeśli potrafię pomóc.

Chodzi wyłącznie o Nikki, zastrzegła się w myślach. Ta decyzja nie ma hic, absolutnie nic. wspólnego z rozedrganiem, które wypełniało ją całą, ilekroć Jake Masters zwracał ku niej swoje oczy koloru mokki.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Tatku? Czy mogę pojeździć z tobą na wózku?

Jake popatrzył z miłością na córeczkę, która podskakiwała przy nim na brzegu łóżka.

- Co do mnie, brzdącu jeden, to możesz sobie jeździć, ile chcesz, ale sama. Nie mam pojęcia, po co podstawili mi tutaj te głupie kółka.

- To jest szpital, proszę pana - odezwała się cierpko gruba salowa, która dopiero co wtoczyła wózek do sali. - Wszystkich naszych pacjentów prosimy, żeby do wyjścia podjeżdżali na wózku. A zresztą, ciężko by panu było chodzić z nogą w takim stanie.

Wstając z łóżka, Jake oparł się o metalową barierkę. W łydce ciągnęło go niemiłosiernie, bolało go ramię, a każdy ruch czuł w głowie. Wózek przyda się bardziej, niż skłonny był to przyznać. Chociaż od wypadku upłynęły trzy doby, wciąż trudno mu się było poruszać. Mimo to cieszył się, że wreszcie wstał i mógł się ubrać. Wolałby już raczej jeździć nago na oklep, niż spędzić kolejny dzień w tym śmiesznym łachu, który dawano pacjentom jako szpitalną koszulę.

Spojrzał na Sarę. Siedziała na krzesełku, skromna i cicha. Mądra dziewczyna. Nie zapomniała przywieźć mu ubrania na podróż do domu. W ciągu minionych trzech dni zrobiła zresztą mnóstwo rozsądnych rzeczy - przywiozła mu przybory do go-

lenia, pocztę, gazety. A przede wszystkim napracowała się przy Nikki. Przyprowadzała ją codziennie i był po prostu zafascynowany tym, jak spokojnie i delikatnie obchodzi się z dzieckiem. Z trudnej sytuacji zrobiła dla Nikki pouczającą lekcję, odpowiadając cierpliwie na jej pytania i wyjaśniając rozmaite szpitalne sprawy. Dzięki Sarze jego pobyt w szpitalu stał się dla Nikki wielką przygodą, a nie dramatycznym przeżyciem. Kamień spadł mu z serca. Obawiał się tego, jak zniesie rozłąkę, ale z jej wesołego, ożywionego zachowania wnioskował, że przeżywa ten czas znacznie lepiej niż on sam.

Pielęgniarka podprowadziła go do wózka i zerknęła na dziewczynkę, która zeskoczyła z łóżka i najwyraźniej zamierzała wdrapać się ojcu na kolana.

- Bardzo mi przykro, ale będzie pan musiał pojechać sam - powiedziała. - Takie mamy zasady. Córeczką zaopiekuje się żona.

Jake poczuł się tak, jakby go uderzono.

- Nie mam żony - warknął, stojąc bez ruchu przy wózku.

- Och, przepraszam... Myślałam... Proszę wybaczyć.

Patrzyła na niego niemal ze strachem. Zbyt późno uświadomił sobie, jaką ma minę i to, że opuszczone po bokach ręce zacisnęły się w pięści. Święty Boże! Biedna kobiecina myślała pewnie, że się na nią rzuci. Potulnie usiadł na wózku i zaryzykował zerknięcie na Sarę. Zareagowała jeszcze gorzej niż pielęgniarka. Była czerwona jak rak i nerwowo owijała pasek torebki wokół palców.

- Panna Sara nie jest moją mamusią - wtrąciła ochoczo Nikki. - Mamusia jest w niebie. Panna Sara jest moją nauczycielką i przyjaciółką taty. Będzie u nas mieszkała. Prawda, tatku?

- Prawda - potwierdził, zmuszając się do swobodnego tonu. Jeszcze raz zerknął na Sarę, ale pochyliła się właśnie nad Nikki i włosy zakryły jej twarz. Zobaczył jedynie, że jej szyję nad białym T-shirtem pokrywa ciemny rumieniec. Widok ten rozbroił go zupełnie. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział dziewczynę, która się rumieni. Do licha, chyba w ogóle nie wiedział o tym, że dorosła kobieta może się czerwienić. Te, z którymi coś go kiedyś łączyło, nie znały uczucia wstydu. Niepokoiło go to, że ją sobą żenował, ale nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić.

Całe szczęście, że całą drogę do windy wypełnił im bezustanny szczebiot Nikki.

- Podprowadzę samochód - powiedziała Sara, gdy znaleźli się przy wyjściu. - Nikki, chcesz pójść ze mną, czy poczekasz z tatusiem?

- Idę z tobą! - Chwyciła ją za rękę i spojrzała z wahaniem na siedzącego na wózku ojca. - Tatku, mogę?

- Oczywiście. - Odprowadzał je wzrokiem, patrząc, jak trzymają się za ręce, a Nikki podskakuje u boku tej kobiety, i nagle ogarnęła go zazdrość. Zaraz jednak zawstydził się tego uczucia. Powinien być wdzięczny, że Nikki tak dobrze czuje się z Sarą; przecież to jej opiekunka z przedszkola. Ostatnio zajmowała się nią na okrągło, toteż mała przywiązała się do niej.

No więc- mówił sobie z jakąś złością - jestem wdzięczny, ogromnie wdzięczny. Niebo mu tę Sarę zesłało i nie miał pojęcia, co by bez niej zrobił. Po prostu nie nauczył się jeszcze podzielać sympatii swojej córki. Jej opiekunka w Amarillo była operatywna i kompetentna, ale Nikki nigdy nie okazywała jej przywiązania. Musiał przyznać, że malutka miała dobry gust, jeśli idzie o niańki: Niejaka panna Anderson była na pewno atrakcyjniejsza niż ta, którą zostawili w Teksasie.

O niebo atrakcyjniejsza, pomyślał, gdy podmuch wiatru przykleił jej spódnicę do nóg, wydobywając zgrabne kształty. Spokojnie, kowboju! Po śmierci Clarissy radził sobie z hamowaniem podobnych impulsów i w efekcie życie stało się o wiele spokojniejsze. Nie życzył sobie zmian. Ta kobieta miała jednak w sobie coś, co rozgrzewało krew i poruszało wyobraźnię. Trudno powiedzieć co. Nie była piękna, ale było w niej coś nieuchwytnego, coś, dzięki czemu nie mógł oderwać od niej oczu ani myśli.

Charakter? Tak, to było to coś. Do licha, lepiej, żebym potrafił być twardy, myślał ogarnięty nagłym niepokojem. Żebym umiał się od niej odczepić. Powtórne zaangażowanie uczuciowe w ogóle nie wchodziło w grę.

Otwierając samochód i pomagając Nikki usadowić się z tyłu, Sara czuła na sobie wzrok Mastersa. Kiedy zapięła małej pas, nie wytrzymała i obejrzała się w jego stronę. Tak, nie myliła się. Patrzył na nią. Odniosła wrażenie, że na jego twarzy maluje się
ten sam wyraz niechęci co wtedy, gdy salowa uznała ją za jego żonę. Czy poczuł się urażony tym, że ktoś w ogóle mógł pomyśleć, że ożenił się z taką pospolitą dziewczyną?

Nagle wydała się sobie śmieszna. Masters prawdopodobnie wcale się nad nią nie zastanawiał. Zapewne cierpiał wciąż po stracie żony i napomknienie o niej bolało go jak świeże rany. To wszystko. Powinna wziąć w cugle swoją rozpędzoną wyobraźnię.

Podjechała do wejścia i przechylając się, otworzyła drzwiczki od strony pasażera. Masters wsiadł i naraz w samochodzie zrobiło się ciaśniej i goręcej. Na szczęście małej nie zamykały się usta. Zaproponowała, że podzieli się z nimi swoją gumą balonową, po czym zaczęła opowiadać ojcu, jak Sara układają do snu.

- Szczotkuje mi włoski, czyta książeczkę, a potem jest bajka, taka śliczniusia, tatku, o dwóch księżniczkach. Może dzisiaj i tobie ją opowie.

Jake rzucił Sarze rozbawione spojrzenie. Od razu dostała wypieków.

- I pozwala mi korzystać ze swojego magnetofonu. Tego...

- W bocznym lusterku Sara zobaczyła, że Nikki podaje magnetofon ojcu. - Ma słuchawki i w ogóle jest super. Można słuchać piosenki i patrzeć do książeczki ze słowami. Kartkę się odwraca, kiedy dzwoni dzwoneczek. Mam „Jasia i ziarnko grochu". Mógłbyś mi to włączyć?

Po chwili założyła słuchawki i umilkła zadowolona z książeczką na kolanach.

- Świetny pomysł z tym magnetofonem - zauważył Jake.

- Będzie trochę spokoju. Ile trwa nagranie?

Sara uśmiechnęła się.

- Mniej więcej pół godziny. Akurat, żeby dojechać do domu.

- Spojrzała na niego uważniej. - Jak się czujesz?

- Nieźle - skłamał. Raziło go słońce, a noga znowu zaczęła rwać. - Dobrze, że mam już ten szpital za sobą.

Oparł głowę o zagłówek i śledził nie znaną mu trasę. Z jazdy do szpitala nie zapamiętał nic, a przebywał w tym miasteczku zbyt krótko, żeby cokolwiek utkwiło mu w pamięci. Czuł się nieswojo, nie orientując się, gdzie jest ani nawet w jakim kierunku jadą. Zawsze planował wszystko bardzo dokładnie i taka sytuacja po prostu nie mieściła mu się w głowie.

Kobieta, która go wiozła, wyglądała również na osobę wiedzącą dobrze, dokąd zmierza. Przez chwilę studiował jej profil. Miała wyraziste rysy - twarz, w której odbijał się charakter. Kiedy odwróciła do niego głowę, wstrzymał oddech. Oczy.

Tak, to one nadawały tej twarzy wyraz. Wielkie, szaroniebieskie i czyste, łagodziły wrażenie, jakie pozostawiały wydatne kości policzkowe i pełne usta. Było w nich coś miękkiego i obiecującego, ciepłego jak puchowa pierzynka. Okulary wydały mu się niemal erotycznym akcesorium, przezroczystą, kuszącą zasłoną.

Spojrzała na niego niespodziewanie i od razu odczuł rosnące z sekundy na sekundę napięcie. Odwrócił wzrok i odchrząknął.

- Dziękuję za wszystko - powiedział. - Gdyby nie ty, może jeszcze teraz leżałbym na tym pastwisku.

Zaśmiała się gardłowo.

- Nie byłoby chyba aż tak źle.

Jej głos wydał mu się tak samo wyjątkowy jak oczy; Był niski, o bogatej barwie, i jakby nieco zdyszany.

- Może. Ale naprawdę dziękuję ci za pomoc. A zwłaszcza za opiekę nad Nikki.

- To wspaniałe dziecko.

- Tak. - Nie potrafił ukryć dumy.

- Promienne, chłonne, czułe. Pięknie ją wychowujesz.

Jake przemógł ucisk w gardle. Wychowanie Nikki było dla niego sprawą najważniejszą i uznanie osoby zawodowo zajmującej się dziećmi bardzo mu pochlebiło.

- Pewnie bardzo ciężko wychowywać dziecko w pojedynkę - powiedziała, obserwując go kątem oka, - Ile lat miała Nikki, gdy zmarła jej mama?

- Niecałe dwa.

- Straszne... Co się stało?

- Zginęła w katastrofie awionetki. - Poruszył się niespokojnie i odwrócił głowę do okna. Chcąc zmienić temat, rzucił pierwsze lepsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy. - Mieszkasz w Oak Grove od urodzenia?

Uśmiechnęła się leciutko. Zrozumiał, że domyśliła się, iż celowo ucieka od tamtego wątku, i był wdzięczny, że taktownie godzi się podjąć nowy.

- Nie. Dopiero od dwóch lat.

- To skąd jesteś?

- Właściwie trudno powiedzieć. Mój tato był pracownikiem towarzystwa naftowego i ciągle się przenosiliśmy. Skończyłam college w Oklahomie, potem pracowałam tam w klubiku dla dzieci, a później przeprowadziłam się tutaj... - Na moment oderwała wzrok od szosy. - A ty? Mieszkałeś w Amarillo?

- I w Dallas. Kiedy miałem osiem lat, rodzice się rozwiedli. Przez następne lata mieszkałem raz u matki, raz u ojca.

- A potem?

- Potem moja mama zmarła.

Spojrzała na niego i poczuł nagle, że mógłby skąpać się W cieple tych oczu, utonąć w nich na zawsze.

- Czyli że ojciec wychowywał cię sam. Tak jak ty Nikki...

- Nie miałem tyle szczęścia... Rok później ożenił się powtórnie.

- Nie układało ci się z macochą?

- Jakby to powiedzieć... Znasz złe macochy z bajek, prawda? Taką ją zapamiętałem. Ojciec też nie był z nią szczęśliwy.

- Gdzie teraz są?

- Tato zmarł, kiedy wyjechałem się uczyć. Kilkanaście miesięcy później macocha przysłała mi pocztówkę z wiadomością, że wyszła za mąż za bankiera z Houston.

Szukał sposobu, żeby porozmawiać nie o sobie, a o niej. Bardzo chciał dowiedzieć się więcej o tej dziwnej kobiecie, która zamieszkała w jego domu, zaopiekowała się jego dzieckiem i o której w szpitalu myślał tak często, że aż go to złościło.

- Co cię przywiodło do Oak Grove? - zapytał.

- Moja babcia. Mieszkała tu całe życie. W ostatnich latach była taka schorowana, że nie mogła mieszkać sama. Moi rodzice sugerowali jej, żeby sprzedała domek i przeniosła się do pensjonatu dla ludzi zniedołężniałych, na Florydę, gdzie sami przenieśli się na stare lata. Nie chciała jednak nigdzie wyjeżdżać. Zawsze byłyśmy sobie bliskie, więc przeprowadziłam się tutaj, żeby się nią zająć... Rok temu zmarła.

- Współczuję.

- Ja tobie też - odparła miękko.

Popatrzył w szybę. Nie chciał mówić o Clarissie i nie życzył sobie współczucia. Właśnie głównie dlatego zdecydował się na tę przeprowadzkę- żeby zacząć wszystko od nowa, nie widzieć litościwych spojrzeń i żeby odgrodzić Nikki od plotek.

Światła, na których przystanęli, zmieniły się.

- A ciebie, co sprowadza do Oak Grove? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Sąsiad zaproponował, że odkupi ode mnie gospodarstwo po okazyjnej cenie. Pomyślałem, że zmiana miejsca dobrze nam obojgu zrobi. W magazynie farmerskim znalazłem ogłoszenie o sprzedaży rancza Murphy'ego, przyjechałem tutaj, obejrzałem je sobie, no i... jesteśmy.

Kiwnęła głową.

- Rozumiem potrzebę takich zmian. Mieszkam nadal w domku mojej babci, ale ostatnio coraz częściej myślę o tym, żeby go sprzedać. Za dużo tu wspomnień, przeważnie dobrych, ale... - Westchnęła lekko. - To trochę męczące żyć bezustannie przeszłością. Za każdym razem, kiedy otwieram drzwi, opadają mnie wspomnienia. Czasem marzę, żeby dały mi już spokój. Żeby po prostu pomieszkać gdzieś u siebie.

Roześmiał się ze zrozumieniem. Opisała dokładnie to, czego sam szukał. Dziwne. Nie miał łatwego kontaktu z ludźmi, już lepiej czuł się wśród zwierząt, ale z tą dziewczyną znajdował wspólny język, jakby byli ź tej samej gliny.

Spojrzał na nią, zatrzymując wzrok na ustach. Jak też one smakują? - myślał. Miał na nie, i w ogóle na nią, taki apetyt, że nieuchronnie pojawiło się w jego głowie kolejne pytanie - czy byłoby im razem dobrze w łóżku?

- Nie omówiliśmy jeszcze sprawy wynagrodzenia - powiedział tak szorstko, że zaskoczona zerknęła na niego szybko.

- Nie musisz mi płacić. Cieszę się, że mogę być pomocna.

- Nonsens! - odburknął niemal niegrzecznie. - Zawodowo zajmujesz się dziećmi i opiekę nad Nikki tak właśnie traktuj. Teraz, po moim powrocie, będziesz miała jeszcze więcej roboty. Oczywiście za wszystko ci zapłacę.

- To nie jest konieczne.

- Jest.

Przywykła pomagać ludziom po sąsiedzku, bez myśli o wynagrodzeniu. Skoro jednak miałoby go to żenować albo nawet drażnić, to oczywiście należało ustąpić.

- Jak sobie życzysz. - Uśmiechnęła się.

Napięcie ustąpiło, ale tonu Jake już nie zmienił.

- Co do warunków... - zaczął oficjalnie, a wysokość tygodniówki, jaką zaproponował, wprawiła Sarę w osłupienie. - Odpowiada ci taka suma?

- Będę bogata! - Kątem oka dostrzegła, że naburmuszył się i chcąc go udobruchać, dodała szybko: - Bardzo jesteś hojny. Dziękuję.

W odpowiedzi jedynie kiwnął głową. Zbita z tropu, skupiła całą uwagę na jeździe, zastanawiając się, dlaczego tak nagle

zmienił front. W jednej sekundzie zmienił się ciężar gatunkowy ich znajomości. Nie byli już równymi sobie, zaprzyjaźnionymi osobami, ale ludźmi, których wiązała umową o pracę. Nie miała pojęcia, co się stało, ale też nie wiadomo, czemu czuła się dotknięta i zrobiło jej się przykro. Czemu dręczyło ją poczucie zawodu? Wyjeżdżając z przedmieścia na, autostradę, zmarszczyła brwi. W sprawach sercowych byłą zawsze rozsądna, ostrożna, rozważna. Czemu więc miała teraz taką ochotę odrzucić wszelką rozwagę i zapomnieć o rozsądku?

ROZDZIAŁ TRZECI

Obudziło go delikatne, rytmiczne pukanie. Zamrugał i przez sekundę nie wiedział, gdzie jest. Dopiero widok starego trema pod ścianą przywrócił mu pamięć. Był w swoim nowym domu. Sara przywiozła go ze szpitala. Miał krótkie spotkanie z dwoma pracownikami, a potem, zmęczony, wspiął się z trudem tu, na górę, żeby się zdrzemnąć. Zerknął na budzik. Szósta trzydzieści. Rano czy wieczorem? Szarówka za oknem nie wyjaśniała wiele.

Rytmiczne pukanie powtórzyło się.

- Proszę! - zawołał.

Drzwi zaskrzypiały i uchyliły się. Stała w nich Sara. Na korytarzu paliło się światło i patrząc na jej sylwetkę, przypomniał sobie nagle to, co pomyślał, gdy otworzył oczy po wypadku – że ma przed sobą anioła. Dźwignął się wyżej. Sądząc po zapachu tego czegoś, co niosła na tacy, na niebiańskie rozkosze mógł liczyć również jego żołądek. I za to właśnie jej płacisz, zgasił swoje zachwyty. Nie rób z tego wielkiego halo. Bez przesady!

- Przyniosłam ci kolację - powiedziała, otwierając sobie drzwi łokciem.

Kolację. To znaczy, że przespał całe popołudnie, bo chyba nie dobę...

- Dziękuję. - Zerknął na talerz ze smakowicie pachnącym daniem, składającym się z dużej porcji pieczonego kurczaka, tłuczonych kartofli, fasolki szparagowej i sałaty. - Pachnie fan-

tastycznie, ale nie musiałaś mi tego przynosić tutaj. Byłbym zszedł na dół.

Ostrożnie postawiła tacę na kołdrze. Kiedy niechcący musnęła go ręką, wstrzymał oddech i poczuł, że opuszcza go rozsądek. Miał ochotę wychylić się z łóżka i przyciągnąć ją do siebie.

- Masz się oszczędzać - powiedziała żartobliwie. - Jestem tu po to, żeby pilnować, czy słuchasz zaleceń pana doktora.

Błysnął zębami w uśmiechu.

- No i jak? Dobrze się sprawuję?

Roześmiała się. Czuł, że go to podnieca i cieszy, tak jak zresztą sama jej obecność tuż przy jego łóżku i zapach perfum, a zarazem irytuje. Nie chciał, żeby budziła w nim takie emocje. Na diabła mu to było potrzebne! Postanowił za wszelką cenę zachować dystans.

- Musiałbym chyba być nieboszczykiem, żeby jeszcze bardziej się oszczędzać - powiedział zrzędliwie. - Nie rozumiem, czemu czuję się taki wykończony. Przecież nic takiego się nie stało... uderzyłem się w głowę, poharatałem sobie nogę, ale nic więcej.

Uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Wyzdrowiejesz, zanim się obejrzysz.

- Oby! W tę ziemię jeśli ma przynosić zysk, trzeba włożyć masę pracy. - Zerknął na ziemniaki. Miał nadzieję, że Sara zrozumie, że jest już niepotrzebna, i wyjdzie. Nabrał jedzenie na widelec i wystarczyło, żeby spróbował, od razu przeszła mu złość. - Pyszne! To szpitalne żarcie może człowieka dobić!

Uśmiechnęła się znowu i Jake uzmysłowił sobie, że zamiast jeść - patrzy na nią. Zastanawiające, jak coś tak zwykłego jak uśmiech może kompletnie odmienić czyjąś twarz. Z trudem skupił się znów na posiłku.

- Co robi Nikki?

- Bawi się pluszakami w zoo. Chciałabym, żebyśmy uzgodnili, jak ustawić jej jutrzejszy dzień. Jeżeli z tobą będzie wszystko w porządku, to posłałabym ją rano do przedszkola. Powinna chyba zacząć żyć tak jak zwykle...

Kiwnął głową, zajadając kurczaka.

- Deb, moja koleżanka, może ją zawieźć i odwieźć z powrotem.

- Świetnie.

Nagle zapadła cisza. Przedłużała się niebezpiecznie. Sara zerknęła w stronę drzwi.

- Pójdę już. Dokończ jeść w spokoju.

Wiedział, że to niemądre, ale nie chciał, żeby wychodziła.

- Bardzo ci jestem wdzięczny za uporządkowanie pokoju - powiedział szybko. - Zrobiło się ładniej.

Rozejrzała się wokół.

- Pewnie nie ustawiłam wszystkiego dokładnie tak, jak byś chciał, ale pomyślałam, że łatwiej ci będzie później to pozmieniać, niż żyć na walizkach i pudełkach.

- Nie wydaje mi się, żebym cokolwiek musiał zmieniać. Jak udało ci się zmontować to łóżko?

- Znalazłam w garażu skrzynkę z narzędziami.

- I sama to zrobiłaś?

Kiwnęła głową.

- Jesteś naprawdę wszechstronnie uzdolniona.

Kilka z tych ukrytych talentów chętnie bym wypróbował, pomyślał, wpatrując się w guziki jej żakieciku. Zganił się zaraz za te myśli, ale wyobraźnia nie dała się okiełznać.

Wzruszyła ramionami.

- Kiedy się żyje samotnie, trzeba umieć wiele rzeczy.

- Nie byłaś mężatką? - wyrwało mu się, zanim zdążył uświadomić sobie, że to niemądre pytanie.

- Nie. Ale prawie do tego doszło.

- Jak to: prawie?

- Choroba mojej babci nie pasowała do planów mojego narzeczonego.

Jake oparł się mocniej o poduszkę.

- Dobry pretekst, żeby zwiać.

Uniosła na moment ramiona.

- Zgadza się. Teraz już wszystko rozumiem, wtedy jednak było to dla mnie trochę przykre. Ale co tam... To przecież nie da się porównać ze stratą współmałżonka.

Jake'owi drgnął w twarzy mięsień. Zapanował nad Sobą i pokierował rozmowę z dala od tematu swego małżeństwa.

- Mam nadzieję, że pobyt tutaj nie zaszkodzi ci zbytnio w miłości... - Zaczerwieniła się, co jeszcze bardziej wzmogło jego ciekawość. - Chciałem powiedzieć, no wiesz... Masz chyba jakiegoś chłopca, narzeczonego czy jak go tam nazwać. Może mu się nie podobać, że wyjeżdżasz i mieszkasz nie wiadomo gdzie.

- Ja...-zająknęła się. - Nie mam nikogo.

Nie miał pojęcia, dlaczego aż tak bardzo go to ucieszyło.

- Ale, ale... - poderwała się nagle. - Była tutaj jakaś pani z agencji nieruchomości. Przywiozła koszyk owoców. Powiedziała, że to dla ciebie, żeby ci się dobrze mieszkało.

Jake skrzywił się. Sue Ellen Haskell usiłowała zwrócić na siebie jego uwagę tak nachalnie, że kupowanie rancza stało się mordęgą. Był już bliski wyrzucenia tej baby za drzwi, zachowywał się prawie niegrzecznie, ale zdawała się tego nie zauważać.

- Strasznie się zdenerwowała, kiedy jej powiedziałam, że miałeś wypadek., Wpadnie później.

- Mam nadzieję, że powiedziałaś, żeby nie robiła sobie kłopotu.

- Powiedziałam, żeby poczekała z wizytą do jutra rana.

- Doskonale.

Mało entuzjastyczna reakcja Jake'a sprawiła Sarze radość. Myśl o energicznej blondynce, najwyraźniej zabiegającej o jego względy, nie dawała jej spokoju przez całe popołudnie. Oczywiście, mówiła sobie, wyłącznie ze względu na Nikki. Sue Ellen Haskell nie wydała jej się osobą o macierzyńskich instynktach. Raczej...

- Nie wiedziałam, że nie życzysz sobie jej oglądać. Zrobiła na mnie wrażenie...

- Domyślam się - przerwał oschle. - Prawda jest jednak taka, że nie mam tej pani nic do powiedzenia. Zakończyliśmy interesy.

- Nie wydaje mi się, żeby przyszła rozmawiać o interesach. Ściągnął ze złością brwi.

- To źle trafiła. Nie szukam okazji do amorów, nie interesuje mnie nowy związek i z całą stanowczością stwierdzam, że nie mam zamiaru żenić się powtórnie. Nigdy!

A zatem było tak, jak podejrzewała. Za bardzo kochał swoją zmarłą żonę, żeby myśleć o innej kobiecie. No i bardzo dobrze, pomyślała, odwracając wzrok od jego ciemnego zarostu, wyłaniającego się spod wykroju białego podkoszulka. A co do Nikki, to chociaż wychowywał ją samotny ojciec, wyglądała na szczęśliwe dziecko, szczęśliwsze od wielu mających dwoje rodziców. Z tego, co opowiadała o tym, jak się z nią bawił, żartował, co czytał i jak spędzali czas, wynikało jedno – chcia

łaby, żeby takiego tatę miały kiedyś jej własne dzieci. Tyle że – myślała z bólem serca - szanse na to, żeby w ogóje te dzieci miała, były mizerne.-Najpierw trzeba by wyjść za mąż, a w tym względzie jej nadzieje kurczyły się z roku na rok.

- Pójdę zobaczyć, co z wodą na kąpiel Nikki - powiedziała. Jak to dobrze, myślała, schodząc do holu, że nie mam wobec Jake'a Mastersa żadnych zamiarów, jak na przykład ta Ellen. Przykro dostawać kosza i wychodzić na idiotkę.

Dwie godziny później zszedł na dół i poszedł prosto do pokoiku Nikki, skąd dochodziły spokojne głosy. Tym, za czym tęsknił w szpitalu chyba najbardziej, był wieczorny ceremoniał układania Nikki do snu. Tęsknił za wspólną modlitwą, opowiadaniem jej bajki, całusami na dobranoc.

- Opowiedz jeszcze raz bajkę o księżniczce - usłyszał błagalny głosik i zatrzymał się w pół kroku, postanawiając nie wchodzić.

- Dobrze - zgodziła się Sara. - Ale musisz mi obiecać, że potem pójdziesz spać.

- Obiecuję.

Rozległo się znajome skrzypnięcie łóżka i domyślił się, że dziewuszka jak zwykle wskoczyła na nie z rozpędu. Zajrzał cichutko przez uchylone drzwi. Sara siedziała w bujanym fotelu, a Nikki, w swojej ulubionej różowej piżamce, leżała na brzuchu, podpierając głowę rękami.

- Dawno, dawno temu - zaczęła Sara - były sobie dwie księżniczki. Mieszkały w odległych miejscowościach: księżniczka Róża w Różanym Gaju, a księżniczka Chmurka w Chmurkowie. Księżniczka Róża nie wyglądała wcale na księżniczkę. Chodziła w byle jakich ubraniach, miała piegi na buzi i rękach,

była wysoka i chuda i miała tylko jedną parę bucików... stare brązowe trzewiki. Księżniczka Chmurka przeciwnie: miała śliczną, porcelanową cerę...

- Co to znaczy: polcielanową?

- Taką jak u laleczki, bo dawniej, wiesz, lalki miały buzie z porcelany… gładziutką i bardzo jasną. Była też bardzo szczuplutka i wcięta w talii, taka właśnie, jakie powinny być księżniczki. Nosiła najpiękniejsze stroje, wyszywane perełkami, rubinami, szmaragdami i szafirami...

- I świecącymi diamentami. Zapomniałaś!

- Słusznie. - Powiedziała to takim tonem, że Jake wiedział, że się uśmiechnęła. - I świecącymi diamentami, które mrugały jak gwiazdki. Nosiła też najpiękniejsze złote pantofelki. Tymczasem pewien książę z sąsiedniej krainy wyrósł na pięknego młodzieńca i szukał żony. Posłał więc po dwie księżniczki. Zaprosił też na swój dwór wszystkich wysokich urzędników, żeby pomogli mu się zdecydować, z którą księżniczką powinien się ożenić.

Burmistrz Chmurkowa wstał pierwszy i wskazał z dumą księżniczkę Chmurkę, ubraną dziś jeszcze strojniej niż zwykle.

Jak Wasza Wysokość widzi, powiedział burmistrz, nasza księżniczka ma piękną cerę, śliczną figurę, wspaniałą suknię i szczerozłote pantofelki. Od stóp do głów obwieszona jest klejnotami. Nikt na świecie nie zaprzeczy, że to wymarzona narzeczona dla młodzieńca tak urodziwego jak ty, książę.

Jake uśmiechnął się, słysząc, jak Sara zniża głos, wygłaszając mowę burmistrza, a potem naśladuje pański ton księcia.

- Tak. Jest rzeczywiście urocza, powiedział książę, gdy ucichły oklaski zebranych. To prawdziwa księżniczka. Następnie wstał burmistrz Różanego Gaju - ciągnęła Sara. - Wskazał

księżniczkę Różę, która stała onieśmielona, wyłamując sobie palce. To prawda, rzekł, że nasza księżniczka nie ma królewskiego wyglądu. Powiem wam jednak dlaczego. Jest chudziutka i piegowata, ponieważ od rana do nocy pracuje w słońcu, pomagając swym poddanym w polu. Ma zdarte buciki, bo przemierza w nich bezmiar dróg, żeby odwiedzić ludzi chorych albo smutnych.

Ależ ona nie ma klejnotów, zaprotestowała księżniczka Chmurka. Co to za księżniczka, która nie ma klejnotów!

Piskliwy głosik, którym Sara obdarzyła tę postać, rozśmieszył Jake'a tak, że musiał stłumić śmiech. Nikki natomiast zachichotała, wołając:

- Teraz będzie mój ulubiony kawałek. Uwielbiam słuchać zakończenia.

Sara ponownie obniżyła tembr głosu, udając burmistrza Różanego Gaju:

- Księżniczka Róża miała niegdyś najwspanialsze klejnoty na świecie. Sprzedała je jednak, a pieniądze rozdała biedakom, żeby nikomu w Różanym Gaju nie brakowało jedzenia, ubrania ani ciepłego domu.

Książę wystąpił naprzód.

Wydaje mi się, oświadczył, że jest tu tylko jedna prawdziwie piękna księżniczka. Tę tylko kocham i tę poślubię.

- Księżniczka Róża myśli, że chodzi mu o księżniczkę Chmurkę! - wtrąciła Nikki.

Sarą kiwnęła głową.

- Księżniczka Róża odwróciła oczy z wielkim smutkiem. Książę jednak ujął jej rękę i zapytał: Różo, czy wyjdziesz za mnie?

Nie możesz jej poślubić, książę! - zawołali jednym głosem księżniczka Chmurka i jej burmistrz. Jest taka brzydka!

Książę objął księżniczkę Różę i powiedział: Kiedy na nią patrzę, widzę dobre, czułe serce. Ono to sprawiło, że jest najpiękniejsza na świecie.

- Wesele! Nie zapomnij tego kawałka o ślubie! - przypomniała Nikki, a Sara uśmiechnęła się.

- Książę był bardzo bogaty, toteż kupił maszyny, które pomogły mieszkańcom Różanego Gaju uprawiać ziemię. Wybudował szpital i zadbał o to, żeby nikt nie był biedny ani głodny. A potem sprowadził najlepszych krawców, żeby uszyli najwspanialsze weselne szaty. Obsypał księżniczkę Różę klejnotami i poślubił ją w katedrze, w obecności wiernych poddanych. A kiedy ją pocałował, czuł w głębi duszy, że całuje najpiękniejszą dziewczynę na ziemi. Żyli potem długo i szczęśliwie.

Nikki westchnęła, przetoczyła się na plecy i zrobiła świecę, unosząc do sufitu swoje wielkie, puszyste kapcie.

- Kocham tę bajkę. Mogłabym jej słuchać co wieczór przez całe życie.

- W takim razie - powiedział Jake, stając w progu - spróbuj namówić pannę Sarę, żeby ją zapisała. Będę się musiał nauczyć udawać głosy tych wszystkich postaci.

- Tatko! - Nikki zerwała się z łóżka i rzuciła mu się w objęcia. Sponad jej główki widział, że Sara podnosi się i odwraca do niego zarumienioną twarz.

- Nie wiedziałam, że tam stoisz.

- Nie chciałem wam przerywać. - Uściskał Nikki. - Poza tym ta pchełka tyle mi naopowiadała o tej bajce, że chciałem jej wysłuchać.

Sara zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Nikki, nie wieszaj się na tatusiu - powiedziała łagodnie.

I

Mała westchnęła, gdy ojciec położył ją i pomógł jej zdjąć kapcie.

- Zmówiłaś pacierz?

Kiwnęła głową.

- No, to czas na całuski. Ile ma być? Piętnaście?

Oczy dziewczynki błyszczały z uciechy. Potrząsnęła jasnymi loczkami.

- Zgadnij.
- Trzy? - Udał, że nie może się domyślić.
- Nie!
- Siedem? Sześć? Pięć?
- Nie! Zgaduj dalej!

Podniósł ręce do góry.

- Poddaję się. Nie wiem. Cztery?

Kiwnęła z radością głową.

- Jeden całusek za każdą świeczkę na moim torcie.

Jake delikatnie złożył po dwa pocałunki na każdym zaróżowionym policzku.

- Nie zapomnij o dokładce.
- O niczym innym nie marzę!

Pocałował ją w czoło, a potem otulił kołderką. Śliczności moje, myślał z najgłębszym wzruszeniem i bezbrzeżną miłością. Uczyniłby wszystko, absolutnie wszystko, żeby była bezpieczna, żeby nigdy nie cierpiała. Nachylił się i jeszcze raz pocałował ją we włosy.

- No, wystarczy. Dobranoc, słoneczko.
- Poczekaj! - Odwrócił się zaskoczony. - Chcę, żeby panna Sara też mnie pocałowała. Cztery razy.

Sara pochyliła się i serdecznie ucałowała dziewczynkę. Nikki wyciągnęła do niej ręce i objęła ją za szyję. Sara szepnęła jej

coś do ucha i mała zaczęła chichotać. Przyglądał się temu z mieszanymi uczuciami. Wieczorne serdeczności były do tej pory czymś zarezerwowanym tylko dla niego. Trochę dziwnie się czuł, zmuszony dzielić ten czas z kimś drugim. Nawet za życia Clarissy należał on jedynie do nich dwojga... Na wspomnienie byłej żony poczuł się tak, jakby mu wbito nóż, i kategorycznie zakazując sobie o niej myśleć, wyszedł na korytarz. Po chwili Sara cicho zamknęła drzwi.

- Myślałam, że śpisz. Inaczej zapytałabym, czy sam chcesz ją położyć. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Usypianie dzieci to taka szczególna pora.

Skinął głową. Podobało mu się, że tak zwyczajnie wyraziła to, co czuł. Podobały mu się jej ciepłe, nieco senne oczy, ukryte za okularami, zapach jej perfum zmieszany z zapachem pudru dla dzieci, którym Nikki obsypała się po kąpieli. Czuł, że w żyłach pulsuje mu krew, a w głowie rodzą się niebezpieczne myśli. Kładzenie się spać może być czymś szczególnym również dla dorosłych. Święty Boże! -pomyślał zaniepokojony, przegarniając ręką włosy. Trzeba sobie nałożyć munsztuk. Ruszył w stronę schodów.

- Przespałem całe popołudnie i zgłodniałem. Chyba pójdę do kuchni i zobaczę, czy nie zostało coś z kurczaka.

- Zostało, i to sporo, ale... Masz siłę chodzić po schodach? Jeśli chcesz, przyniosę ci jedzenie na górę.

- Nie, dziękuję. Szczerze mówiąc, mam już trochę dosyć zamknięcia.

Powoli pokuśtykał po schodach, wszedł do kuchni i rozejrzał się zaskoczony. Kiedy był tu ostatnio, całą przestrzeń zajmowały na wpół opróżnione pudełka.

- Rozpakowałaś wszystko w całym domu? - zapytał.

- Prawie. - Znieruchomiała z ręką na uchwycie drzwi lodówki. - Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- No co ty?! Powinienem ci chyba podwyższyć pensję. Uśmiechnęła się i wyjęła nakryty półmisek z kurczakiem.

Trzymając się blatu, Jake zaczął otwierać szafki w poszukiwaniu talerzy. Podeszła, żeby mu pomóc, i niechcący dotknęli się ramionami. Stało się to przypadkiem, a jednak bez wyraźnej przyczyny poczuł nagle, że się między nimi iskrzy. Oboje znieruchomieli z wyciągniętymi do góry rękami i popatrzyli na siebie. Jake wyjął talerz i odchrząknął.

- Ta twoja bajka dla Nikki to prawdziwe cudo - powiedział, przenosząc ciężar z chorej nogi i mocniej opierając się o blat. - Skąd ją wzięłaś?

- Wymyśliłam.

- Naprawdę? - Patrzył, jak odwraca się i wyjmuje widelec z szuflady. Pochłaniał oczami włosy, które opadły przy poruszeniu głową. - Sama?

- W dziewiątej klasie kazano nam napisać pracę o ulubionej księżniczce z bajki. Żadna mi się nie podobała, więc wymyśliłam własną.

- A Kopciuszek? A Królowa Śniegu? Niełądne?

- Piękne. Tylko co ja mogłabym mieć z nimi wspólnego?

- Czemu nie?

Popatrzyła na niego. Żartował sobie? Postawił pytanie tak zwyczajnie, tak szczerze, jakby naprawdę nie domyślał się, o co chodzi. Ogarnęło ją wzburzenie i nie panując nad sobą, wybuchnęła:

- Wiesz, od kiedy mam ten wzrost co teraz? Od trzynastego roku życia! Przerosłam wszystkie dzieci. A przy tym byłam chuda jak patyk i nic nie zapowiadało we mnie kobiety. Nosiłam śmieszne okularki i aparat na zębach.

Uśmiechnął się, jakby było w tym coś zabawnego.

- Ja też przeszedłem przez takie stadium. Pamiętam, że czułem się jak poczwara.

- Poczwara to za mało powiedziane. Ale wygląd to jeszcze nic. Najgorsze było to, że moja mateńka uważała, że jeśli tylko zechcę się wysilić, to będę zgrabną, ładną córeczką, o której zawsze marzyła. Całymi godzinami kręciła mi loki i układała włosy, wklepywała sok z cytryny, żeby wywabić piegi. Musiałam chodzić z książką na głowie, żeby skorygować postawę... Na dwór nie wolno mi było wychodzić bez kapelusza... Trzy razy dziennie piłam koktajle mleczne. Posłała mnie na kursy gracji i lekcje tańca. Próbowała doprawdy wszystkiego...

Jake ściągnął brwi.

- A niech to! Ale cię urządziła.

Uśmiechnęła się blado.

- Chciała jak najlepiej, wiem, ale oddałaby mi lepszą przysługę, gdyby po prostu nauczyła mnie akceptować siebie taką, jaka byłam. Tymczasem burczała i burczała, a ja czułam się jak śmieć. Właśnie z uwagi na te doświadczenia postanowiłam zostać nauczycielką... żeby pomagać dzieciom odkrywać w sobie zdolności i rozwijać poczucie własnej wartości bez względu na urodę i cudze opinie.

Zmieszała się nagle i odwróciła wzrok. Wielkie nieba! Jak tak można?! Użalanie się nad własnym losem było zupełnie nie w jej stylu: Zawsze myślała o innych, nigdy o sobie.

- Poczucie własnej wartości to faktycznie ważna sprawa - odezwał się Jake. - Dzieci powinno się tego uczyć. Nikki ma szczęście, że trafiła na nauczycielkę taką jak ty... - Zauważył, że się zaczerwieniła, i zmienił temat. - Wspomniałaś, że twoi rodzice mieszkają na Florydzie. Często się widujecie?

- Niezbyt. - Pokręciła głową. - Odwiedzam ich raz w roku, i na tym koniec. Prowadzą bujne życie towarzyskie, sporo podróżują... - Uśmiechnęła się smutno. - W gruncie rzeczy dobrze, że jest, jak jest. Mama wciąż nie potrafi oprzeć się pokusie, żeby zrobić ze mnie kogoś innego, niż jestem.

- A moim zdaniem powinna być z ciebie zadowolona.

- Dlaczego? Bo zostałam przedszkolanką?

- Nie, to znaczy... Z tego też, ale myślę teraz o twoim wyglądzie. Wyglądasz ładnie.

Ładnie. Było to bezpieczne, niezobowiązujące słowo, znaczące dokładnie tyle co: schludnie, starannie. A jednak sposób, w jaki je wypowiedział i podkreślił spojrzeniem, sprawił, że zadrżała. Litości! W jego ustach słowo to zabrzmiało tak, jakby... Nagle wyschły jej usta i zwilgotmały dłonie. Jakby mu się podobała! Odwróciła wzrok i potarła napięty kark.

- No cóż... Przynajmniej aparatu na zębach nie muszę już nosić. Piegi też prawie zniknęły, ale z Kopciuszkiem w dalszym ciągu niewiele mnie łączy.

- Nie zgadzam się.

Wyciągnął rękę i ujął pasemko jej włosów. Nie poruszyła się nawet, nie była w stanie. Nie mogła oddychać, myśleć, nie potrafiła się zmusić do podniesienia oczu, choć czuła na swojej twarzy gorące spojrzenie Jake'a. Jego palce przesunęły się z włosów na szyję. Serce stanęło w niej nagle, zabiło i zaczęło się tłuc jak oszalałe. Nie umiałaby powiedzieć, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy ponosi ją wyobraźnia. Czuła się trochę tak jak człowiek, który po raz pierwszy w życiu wybrał się na łyżwy. Czy Jake, rozmasowując jej napięte mięśnie karku, zachowywał się po prostu przyjaźnie, czy było to coś głębszego, zmysłowego? Przełknęła ślinę i odważyła się spojrzeć mu

w twarz. To, co zobaczyła, sprawiło, że ugięły się pod nią kolana. Jake'owi pałały oczy. Było w nich coś, co wibrowało w powietrzu, gorące, gotowe zapalić się od jednej iskry. Poczuła mocniejszy ucisk jego palców i nie wiedziała już, które z nich przysunęło się pierwsze. Waliło jej w skroniach, zawodził rozum, widziała jedynie jego wargi - mocne, spragnione. Były tak blisko, że prawie... Przymknęła powieki.

- Tatusiu, czy mogę się napić wody?

Sara momentalnie otworzyła oczy. W drzwiach stała Nikki. Jake odwrócił głowę i natychmiast się cofnął.

- Oczywiście, kochanie.

Pokuśtykał do szafek i nagle uświadomił sobie, że nie wie, gdzie Sara ustawiła szklanki.

- Moje kubeczki są o, tam - podpowiedziała Nikki, wskazując górną półkę.

Wyjął plastikowy kubeczek z Kaczorem Donaldem i podszedł do zlewu, żeby nalać wody. Kiedy podawał ją Nikki, spostrzegł, że drży mu ręka.

Dziewczynka siorbnęła głośno.

- Co robiliście? - zapytała z ciekawością.

Dobre pytanie, pomyślał, przeczesując palcami włosy. Co ja u licha wyprawiam? I to gdzie? W domu, który miał być azylem dla tego dziecka. Spojrzał na Nikki, tulącą do siebie starego pluszowego misia. Moja maleńka, pomyślał, złoszcząc się na samego siebie. Co mi się roi, do diabła... Każdy związek rozpada się i kończy... Tylko w jeden sposób mógł uchronić córeczkę przed niewyobrażalnym cierpieniem, na jakie skazane jest w takiej sytuacji dziecko - nigdy do takiego związku nie dopuścić. Przysiągł sobie, że nie narazi jej nigdy na to, przez co sam przeszedł w dzieciństwie - na przeżywanie awantur między

dwojgiem ludzi, których kochał, na sytuację, w której dziecko stara się dogodzić obojgu rodzicom, a samo nie ma się do kogo zwrócić.

Bezwiednie zacisnął dłonie. Myślał o sobie z niesmakiem. Na litość boską! Sara była nauczycielką Nikki. Dziecko przywiązało się do niej. Doprawdy, jeśliby nawet szukał przygody, to ta kobieta nadawała się do tego najmniej.

- Nic szczególnego, córeczko - odpowiedział. - No, do łóżka. Chodź.

Wyganiając Nikki z kuchni, spojrzał przez ramię na Sarę. Stała nieruchomo. Miała lekko rozchylone usta i nieprzytomne oczy. Szarpnął nim taki żal, że aż w duchu przeklął się za to.

- Nie zajmuj się jedzeniem. Odechciało mi się jeść.

Zabrzmiało to zimniej, niż zamierzał, ale tak prawdopodobnie było najsensowniej. Musiał narzucić dystans. Genialnie, stary koniu, myślał sardonicznie. Jest kobieta. Pucuje ci dom, troszczy się o twoje dziecko i nianczy twoją zbolałą duszyczkę. Byle tak dalej. Chłodno i z dystansem - zwłaszcza że będzie sypiała po przeciwnej stronie korytarza. Powodzenia!

Wchodząc ciężko po schodach, zastanawiał się, jak u licha przeżyć następne dwa tygodnie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mogę dostać jeszcze jeden naleśnik? - Nikki wyciągnęła rękę ze swoim ulubionym talerzykiem. Deseń z klownem wymalowanym na dnie talerza tonął pod grubą warstwą syropu klonowego. Podobnie usmarowana była jej buzia.

- Naturalnie, że możesz. - Sara uśmiechnęła się szeroko. - Ale najpierw magiczne słówko.

- Proszę!

- Grzeczna dziewczynka. - Rozburzyła jej włosy i biorąc talerzyk, podeszła do kuchenki, żeby wlać ciasto na patelnię do formy w kształcie Myszki Miki. Kupiła ją w sklepie kolonialnym, kiedy w tygodniu robiła większe zakupy. Zabawne, ile ciepłych a zarazem nieokreślonych bliżej uczuć budziło w niej coś tak prostego, jak przygotowanie dziecku śniadania. Uwielbiała to robić. W gruncie rzeczy wszystko, co tu robiła, sprawiało jej przyjemność. Nawet pranie. Miło było poudawać, że ma się własny dom, dziecko. Mężczyznę.

Zadrżały jej ręce. Nigdy w życiu nie czuła się tak pobudzona, jak wczorajszego wieczoru. Oczywiście, całowała się już wiele razy, a nawet, po zaręczynach z Dave'em, posunęła się odrobinę dalej. Nigdy jednak nic nie sprawiło jej takiej przyjemności. Czy Jake rzeczywiście prawie ją pocałował? Nie śpiąc długo w nocy, zastanawiała się nad tym, co by to było, gdyby Nikki im nie przeszkodziła. Ależ sobie nawyobrażała!

Potrząsnęła lekko głową i sięgnęła po kawę. To wszystko urojenia - studziła swoje
myśli. Przecież nic się nie wydarzyło. Zachowywała się jak dziecko w przedszkolu, które, dając upust fantazji, bawi się w dom. Bo to były właśnie fantazje - cudowne, podniecające, ale fantazje. Nic więcej. To nie był jej dom, Nikki nie była jej dzieckiem, a Jake, z całą pewnością, nie był jej mężczyzną. Usłyszała od niego jeden uprzejmy komplement, a zrobiła z tego wielkie halo.

Starannie wykroiła formą naleśnik. Zamiast bujać w obłokach i hołubić w sobie wspomnienie dotyku Jake'a, powinna raczej pamiętać to, jak szybko uciekł z kuchni i jak oschłe było jego „dobranoc". Z całą pewnością nie zachowywałby się tak mężczyzna żałujący, że mu przeszkodzono, myślała ponuro, podkładając łopatkę pod usmażony z jednej strony naleśnik. Wręcz przeciwnie, Jake zachował się jak ktoś wybawiony z głupiej sytuacji.

- Dzień dobry.

Na dźwięk głębokiego głosu, który rozległ się za jej plecami, drgnęła tak mocno, że łopatka wyskoczyła jej z ręki i pofrunęła do góry. Naleśnik w kształcie głowy Myszki Miki rozpłaszczył się na czole Jake'a.

- Tatko założył maskę Myszki Miki! - zawołała uradowana Nikki.

Burknął coś ze złością, odlepiając ciasto i mrugając gwałtownie. Sara chwyciła mokrą ściereczkę i ostrożnie, jakby był jednym z jej przedszkolaków, wytarła mu twarz z tłuszczu.

- Przepraszam, bardzo przepraszam...

Przyjrzał się strzępkom naleśnika, które przykleiły mu się do ręki, i podniósł wzrok.

- Coś się stało? Oparzyło cię? - Zaniepokojona, zeskrobała mu kawałek ciasta z brwi. Brew powędrowała w górę.

- Czuję się jak na froncie, ale nic mi nie jest.

Widząc błysk rozbawienia w jego oczach, uśmiechnęła się niepewnie, ale kiedy przytrzymał jej spojrzenie, poczuła, że braknie jej tchu. To coś, ta jakaś przemożna siła przyciągania, pojawiła się znowu. Sara uświadomiła sobie nagle, jak blisko siebie stoją. Że czuje na twarzy jego oddech, a biustem opiera się o twardą pierś Jake'a. I że - o matko! - nie zdjęła ręki z jego policzka, a kciukiem niemal dotyka ust.

Kiedy wyjął jej z ręki ściereczkę, odsunęła się z bijącym sercem, wyczuwając pod cofającą się dłonią szorstki zarost. Z płonącymi policzkami szybko odwróciła się w stronę kuchenki. Sama już nie wiedziała, co rozstroiło ją bardziej - fizyczne zetknięcie z Jakiem, wyraz jego oczu, głupie zdarzenie czy też pamięć nocnych rojeń.

- Założę się, że Nikki wolałaby zjeść naleśniki ze swojego talerzyka niż z mojej twarzy - odezwał się wesoło.

Nikki zaniosła się śmiechem. W tej sytuacji trudno się było nie uśmiechnąć, ale sięgając po ciasto, Sara czuła, że trzęsą jej się ręce. Znowu brakowało jej języka i pętała nieśmiałość. Niczym nie przypominała tamtej Sary z nocnych marzeń. Była w nich dowcipna, uwodzicielska, błyskotliwa. Panowała nad sobą i nad sytuacją. W rzeczywistości, myślała ze złością, nie umiem zapanować nawet nad głupią łopatką do odwracania naleśników.

- Hej tam! Juhu! - Ktoś głośno dobijał się do drzwi.

Sara szybko odwróciła głowę. Przez okienko zaglądała Sue Ellen Haskell.

- Fu! Czego ona tu chce? - Nikki skrzywiła buzię, jakby postawiono przed nią porcję szpinaku.

Sara w myśli zawtórowała małej. Chyba nic nie mogłoby jej

teraz udręczyć bardziej niż widok urodziwej agentki, która najpewniej nigdy nie traciła języka w buzi z powodu mężczyzny.

- Przyniosła prezent, żeby się wam dobrze mieszkało.

- Nie mogła zostawić wczoraj?

- Chciała wręczyć go osobiście twojemu tacie. - A przy okazji znowu się do niego powdzięczyć, myślała, otwierając drzwi.

Mocno umalowana, zmysłowa blondynka wyminęła Sarę jak służącą, której się nie zauważa, i weszła wyniośle, wnosząc ogromny, owinięty celofanem, kosz owoców.

- Widzę, że nasz chory czuje się już lepiej - zaczęła głosem krzykliwym jak jej szminka a zarazem słodziutkim jak ulepek. - Och, nie, nie, nie wstawaj. Nie ma potrzeby, żebyś się męczył dla jakichś tam form.

Podchodząc z powrotem do kuchenki, Sara zerknęła na Jake'a. Nie zauważyła, żeby próbował się podnieść. Sue Ellen postawiła kosz na środku stołu i usiadła przy Jake'u, zakładając nogę na nogę. Postarała się przy tym, żeby jej obcisłą czerwona sukienka wysoko odsłoniła udo.

- Jak się dziś czujesz?

- Lepiej. - Odpowiedź byłą tyleż lakoniczna, co cierpka.

- Wpadłam tu wczoraj i myślałam, że zemdleję, kiedy wasza gosposia powiedziała mi, że byłeś w szpitalu.

- Sara nie jest naszą gosposią.

Sue Ellen popatrzyła na Sarę jak kocica i... zdyskwalifikowała ją jako rywalkę. Sara odczuła to niemal fizycznie. Upokorzona, podłożyła drewnianą łopatkę pod naleśnik i zamarzyło jej się, jakby to było pięknie, gdyby pewne wypadki chciały się powtórzyć, gdyby taki naleśniczek wylądował na czole Sue Ellen, być może udałoby się spławić tę paniusię na zawsze.

- Och... W takim razie przepraszam. Wiem, że szukałeś pomocy na stałe, więc... - Odwróciła się i promiennie uśmiechnęła się do Sary: - Jesteś z rodziny?

- Nie, jestem przedszkolanką. Uczę Nikki. A tutaj pomagam tylko. Chwilowo.

Sue Ellen spojrzała na Nikki po raz pierwszy, od kiedy weszła, i nawet nie kiwnąwszy do niej głową, przeniosła ponownie wzrok na Sarę.

- Wiesz... mam wrażenie, jakbym cię skądś znała. Ale... - zmarszczyła nos - chyba nie jesteś tutejsza?

W tonie jej głosu było coś takiego, że Sara aż się zjeżyła. Czyżby chciała dać jej do zrozumienia, że jest tu obca i najlepiej, żeby się wyniosła?

- Mieszkam w Oak Grove dopiero od dwóch lat, ale co lato przyjeżdżałam tu na wakacje do babci - powiedziała niepewnie.

Oczy Sue Ellen przybrały taki wyraz, jakby zobaczyła stary rupieć.

- Ach tak! - zawołała. - Już wiem, skąd cię pamiętam. To ty jesteś tą biedaczką, z którą przed laty Tommy Bullock umówił się na tańce w Święto Niepodległości. To było takie wredne, potraktował cię…

Sara poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Nie, wszystko, tylko nie tamto, nie...

- To... to było tak dawno! - wybuchnęła.

- Tak, ale nigdy nie zapomnę, jak okropnie cię...

Muszę odwieść ją od tego tematu, myślała gorączkowo.

Muszę...

- Stare dzieje - przerwała. - Porozmawiajmy lepiej o tobie. Musisz się znać na rzeczy, skoro prowadzisz takie odpowiedzialne transakcje, jak handel ranczami.

Ellen wyprostowała się dumnie i uśmiechnęła z wyższością.

- Tak się składa, że w tym miesiącu awansowałam. Jestem kierowniczką działu.

Uff, odetchnęła Sara. Ta kobieta była tak skoncentrowana na sobie, że dało się ją łatwo naprowadzić na temat zapewne jej najmilszy. Tym tematem była ona sama.

- Zawdzięczam to trochę udanej transakcji z Jakiem - ciągnęła, odwracając się do niego. - Prawdę mówiąc, wpadłam, żeby ci podziękować i zaproponować parę usług ekstra.

Uniósł brwi. Dotknęła jego ręki Z wymownym uśmiechem i roześmiała się, jakby powiedział coś zabawnego.

- Związanych z wyposażeniem twojego domu, oczywiście. Tapety, jak cię uprzedzałam, wymagają wymiany, a pokoje warto by odmalować.

Jake rozejrzał się po ścianach. Tapeta w niebieskawy wzorek rzeczywiście wyblakła. Do tej pory w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Trzeba by ją wymienić, fakt, remont też na pewno by się przydał, ale nie miał najmniejszej ochoty wiązać swoich ewentualnych planów z tą krzykliwą paniusią.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - powiedział chłodno. - Poradzę sobie bez pośrednictwa agencji.

Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Na pewno, ale kiedy znajdziesz na to wszystko czas? Masz robotę na ranczu, chorą nogę i córkę do obsłużenia. Z największą przyjemnością znajdę ci katalogi farb i tapet. Mogłabym wpaść wieczorem.

Jake myślał szybko.

- Mhm… Miałem właśnie poprosić Sarę, żeby się tym zajęła. Pomagała mi się urządzić i wie, co lubię, a czego nie.

Sue Ellen spojrzała na Sarę z jawną niechęcią.

- Ach tak... Nie wiedziałam, że aż tak świetnie się rozumiecie.

- Panna Sara w ogóle jest świetna - wtrąciła nagle Nikki. - A szczególnie jej naleśniki i bajki na dobranoc. Prawda, tatku?

Jeśli Sue Ellen sądziła, że sprowokuje go do stwierdzenia, że nic go nie łączy z Sarą, i w związku z tym będzie mogła dalej otwarcie mu się narzucać, to grubo się pomyliła.

- Zwłaszcza bajki na dobranoc - przytaknął dwuznacznym tonem, zerkając na Sarę. Stała przy kuchni odwrócona plecami, więc nie wiedział, jak to odebrała. Za to Sue Ellen uśmiechnęła się sztucznie.

- Bardzo pięknie... - Podniosła się i wygładziła obcisłą mini. - No to lecę. Mam nadzieję, że będzie ci się dobrze mieszkało. - Prędko podeszła do wyjścia i już z ręką na klamce rzuciła Jake'owi znaczące spojrzenie. - Gdybyś uznał, że mogę ci być w czymkolwiek pomocna, znasz mój numer,

- Znam, znam... - wymruczał zniecierpliwiony, gdy zamknęły się za nią drzwi.

Spojrzał na Sarę zażenowany.

- To nieprawda, co powiedziałem, że chcę cię prosić o zajęcie się tym całym remontem - rzucił w jej stronę.

- Nic nie szkodzi.

- Powiedziałem tak, żeby sobie pomyślała, że...

Że co? Że coś nas łączy?

Spędził pół nocy na wybijaniu sobie takiej możliwości z głowy, ale wspomnienie porannej, śmiesznej przygody w kuchni i ich nagłego zbliżenia nie pomogło mu w tym ani trochę.

- Chciałem po prostu się jej pozbyć, ot co.

Postawiła przed nim talerz z górą naleśników.

- Wybieranie tapet i koloru farby to wielka frajda - powiedziała.

Poruszył się zakłopotany. Szczerze powiedziawszy, nie był pewien, czy odpowiadałoby mu dalsze angażowanie się Sary w urządzanie domu. Jednakże jeszcze bardziej obawiał się jej wpływu na swój całkowicie rozregulowany system hormonalny. Gdyby zajęła się tapetami i malowaniem, to nie miałaby czasu bawić się w pielęgniarkę.

- Jak chcesz - powiedział. - Jeśli znajdziesz czas, to proszę, będę wdzięczny.

- A mój pokoik też wytapetujemy? - zapytała z ożywieniem Nikki. - Chciałabym mieć tapetę w księżniczki.

- Zobaczymy... Nawet nie wiem, czy takie w ogóle są.

W tej samej chwili rozległo się pukanie.

- Większy tu ruch niż w szpitalu - mruknął niechętnie.

- O, pani Mikołajowa! - zawołała dziewczynka.

- Pani Kloster - łagodnie poprawiła ją Sara.

- Ale powinna się nazywać Mikołajowa, bo wygląda jak żona Świętego Mikołaja.

Deb roześmiała się, wchodząc do środka.

- No, Nikki, dawno mi już nikt nie powiedział sympatyczniejszego komplementu.

Podnosząc się ciężko, gdy Sara zaczęła go przedstawiać pani o miłej twarzy, Jake pomyślał, że trudno się nie zgodzić z oceną Nikki. Deb powstrzymała go gestem.

- Proszę się nie męczyć, bo Sara urwie mi głowę. Ona zawsze bardzo dba o swoich podopiecznych.

- To znaczy... Zajmujesz się chorymi? - Zerknął na Sarę, ale Deb ciągnęła dalej:

- Opiekowała się swoją babcią nawet wtedy, gdy już nie mogła wstawać ż łóżka. Kiedy któreś z naszych dzieci zachoruje, odwiedza je albo posyła prezenciki. Zawsze coś dla kogoś

robi. Ma wielkie serce... Czasem myślę, że jest za dobra i ludzie to wykorzystują.

Tak jest, zrozumiałem, pomyślał, choć nie potrzebował aluzji Deb, żeby wiedzieć, że Sara nie jest kobietą, którą się można bawić. Popatrzył na nią. Pakowała do torby Nikki jej ukochanego misiaczka. Nagle ogarnęła go fala ciepła. A zatem zauważyła, że Nikki lubi tulić do siebie starego misia podczas poobiedniej drzemki. Niby nic, a jednak... Uderzyła go myśl, że z takich odruchów, z takich „niby nic", składa się życie, że to one decydują o jego jakości. Jakieś śmieszne naleśniki, bajki na dobranoc, zapach perfum...

- Do widzenia, tatku. - Nikki podbiegła i uścisnęła go mocno, po czym pobiegła przez pokój i objęła Sarę. - Do widzenia, panno Saro.

- Może odprowadzisz nas do samochodu - zaproponowała Deb i kiedy Nikki popędziła naprzód, uśmiechnęła się do Sary wesoło. - Kiedy powiedziałaś, że bierzesz urlop, żeby pomóc tutaj, pomyślałam sobie, że przesadzasz już z tą swoją dobrocią, ale po rozmowie z tatą Nikki, przestałam się dziwić. Nawet ja, stara, poczułam, jak mi serduszko pika.

Sara podciągnęła pasek torby wyżej na ramię i starała się udawać, że uwagi Deb nie robią na niej wrażenia.

- Nie bądź śmieszna - odburknęła z wypiekami na twarzy.

- A co w tym śmiesznego, że chłop podoba się babie, młodej czy starej? Zwłaszcza taki jak ten. To chyba naturalne.

- Ktoś coś mówił o podobaniu się?

- Po co tu słowa?

Sarę zapiekła twarz.

- Aż tak to po mnie widać?

Deb otoczyła ją ramieniem.

- No, rozchmurz się. Myślę, że to wzajemne.

- Co ty mówisz? - Zatrzymała się i spojrzała ostro na przyjaciółkę, która wzruszyła ramionami.

- Widziałam, jak na ciebie patrzył. Zapewniam cię, że inaczej niż na mnie.

Radość, która na moment ogłuszyła Sarę, wyparowała niemal w tej samej sekundzie. Deb myliła się. Była wspaniałą osobą, przyjaciółką, ale miała na jej temat zupełnie nierealistyczne wyobrażenia. Pokręciła głową.

- Ile razy mam ci powtarzać - ciągnęła Deb - że inni widzą cię inaczej niż ty sama siebie. Gdybyś troszeczkę o siebie zadbała, ułożyła inaczej włosy, podmalowała się, a może nawet zaczęła nosić te szkła kontaktowe, które sobie sprawiłaś.

Sara zdrętwiała. Sugestie Deb były boleśnie znajome. Matka przez całe lata próbowała ją „ulepszyć", a uzyskała tylko jedno - to, że czuła się brzydka, nie taka jak powinna, niekochana. Dosyć tego! Dawno już postanowiła, że nie będzie udawać kogoś, kim nie jest. Lepiej już być uosobieniem przeciętności, niż próbować zmieniać to, co jest niereformowalne, i narażać się na śmieszność. Nie ma nic gorszego od śmieszności, myślała, przypominając sobie dzień, w którym postanowiła zaniechać wszelkich starań o swoją urodę, zapomnieć o makijażu, fryzurze i tym podobnych głupstwach. Było to rankiem 5 lipca tego roku, gdy skończyła piętnaście lat. Po tym okropnym wydarzeniu na zabawie, o której dzisiaj zaczęła mówić Sue Ellen.

Zimny pot zrosił nagle jej czoło. Otarła go wierzchem dłoni. Gdybyż tak samo, jednym ruchem, dało się zatrzeć bolesne wspomnienia... Kątem oka spostrzegła, że Deb przygląda jej się z niepokojem.

- Nie mówmy już o tym - powiedziała, patrząc przed siebie.

- Jestem, jaka jestem. Wiem, jak wyglądam, i nie mam złudzeń, że mogłoby być inaczej.

Do tej pory ta świadomość nie nastręczała jej większych problemów. Zżyła się z nią. Nie miała powodzenia - no to co? Potrzebę kochania i bycia kochaną zaspokajała, opiekując się dziećmi w przedszkolu, pomagając innym. Dopiero teraz, gdy poznała Jake'a Mastersa, wszystko się zmieniło. Nie potrafiła już żyć po staremu. Nagle ogarnął ją gniew. Jak on śmiał burzyć jej uporządkowane życie?! Nie, niczego sobie tym razem nic roiła. Przeciwnie. Była absolutnie pewna, że jest tak, jak myśli. Jake flirtował z nią. Był chwilowo skazany na siedzenie w domu, więc bawił się, żeby nie wyjść z wprawy!

Kurczowo zacisnęła dłonie. Dobrze, że odzyskała rozum, bo jeszcze zrobiłaby z siebie idiotkę. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że jej niewłaściwie ulokowane zauroczenie nie było dla niego tak oczywiste jak dla Deb.

- Jedźcie już, bo się spóźnicie - powiedziała, podając jej torbę Nikki,

- Dobrze, dobrze. Miłego dnia! Naciesz się swoim pysznym kąskiem. - Deb zrobiła oko i wsiadła do samochodu.

Sara pomachała dziewczynce, która wdrapała się już na tylne siedzenie, po czym odwróciła się i poszła w kierunku domu. Miała stawić czoło mężczyźnie, który zawrócił jej w głowie, od pierwszego wejrzenia. Tyle że teraz, dzięki Sue Ellen i bolesnym wspomnieniom, które wywołała, odzyskała poczucie rzeczywistości i zamierzała twardo chodzić po ziemi.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spojrzał na zawiadomienie o aukcji bydła i poruszył się w obitym skórą fotelu, próbując znaleźć wygodniejszą pozycję. Siedział tak od lunchu, opierając chorą nogę na stojącym pod biurkiem stołeczku. Próbował uporać, się z korespondencją i powypełniać rozmaite dokumenty, ale myślami był wciąż przy kobiecie, która krzątała się w holu na dole i coś cicho nuciła.

Uzmysłowił sobie nagle, że dźwięki te wcale mu nie przeszkadzają, a przeciwnie, sprawiają mu przyjemność. I to był właśnie problem. Drażniący problem. Gdyby jeszcze mógł ją o cokolwiek winić... Ale nie. W ciągu ostatnich dwóch dni prawie jej nie widywał. Kiedy pozostawali w domu sami, zachodziła na górę co dwie godziny spytać, czy czegoś nie potrzebuje, lecz zachowywała się niemal jak duch. Znikała, gdy wchodził do pokoju, chowała się po kątach, żeby nie natknąć się na niego w korytarzu, a gdy przynosiła lunch, unikała jego wzroku. Dla Nikki natomiast była tak samo serdeczna i troskliwa jak zawsze.

Zachodził w głowę, co takiego zrobił, że się obraziła, a z drugiej strony nie miał pojęcia, czemu go to aż tak bardzo obchodzi. Postanowił przecież zachować dystans, a wobec tego jej uniki powinny mu być na rękę. Co za różnica, jak się zachowywała! A jednak... Drażniło go również to, że wyrobił w sobie irytujący nawyk spoglądania na zegarek, oczekiwania na chwi

lę, kiedy znowu, z obowiązku, się pojawi. Teraz też sprawdził czas. Powinna tu zaraz być.

Rozległo się delikatne pukanie. To się nazywa punktualność, pomyślał złośliwie.

- Proszę.

Stanęła w progu, wyprostowana, z nieodłącznymi spinkami podtrzymującymi włosy. Była w luźnej niebieskiej bluzce i workowatych dżinsach. Po raz nie wiadomo który zastanowiło go, dlaczego zawsze ubiera się tak, żeby nie pokazać figury. Z tego, czego mógł się dopatrzeć, nie miała nic, co trzeba by ukrywać. Jakby odczytując jego myśli, zasłoniła się, krzyżując ręce na piersiach.

- Potrzebujesz czegoś?

- Owszem. - Zdjął nogę ze stołka i dźwignął się z trudem.

- Muszę się wybrać do zagród. Cielaki odstawione od matek mają być dziś obrączkowane; powinienem je wszystkie obejrzeć i zdecydować, które sprzedamy na aukcji.

Na jej wyrazistej twarzy pojawiło się najpierw zaskoczenie, a potem niepokój.

- Dasz radę jechać?

- Oczywiście. - Oparł się o krzesło, żeby odciążyć chorą nogę, i zauważyła, że aż mu pobielały kostki.

- No, nie wiem... - Spojrzała na niego z powątpiewaniem. - Miałeś się oszczędzać.

- Oszczędzam się.

- A jak głowa?

- Świetnie.

- Już cię nie boli? - Trzymał ją tak jakoś sztywno, że była pewna, że jeszcze mu dokucza. - A noga? I bark?

- W domu czy poza domem nic się nie zmieni - odburknął.

- No to co? Podwieziesz mnie, czy mam jechać sam?

- Nie możesz prowadzić z nogą w takim stanie!

- To się jeszcze okaże!

Pokuśtykał do drzwi. Urażona szorstką reakcją, odsunęła się, żeby go przepuścić, i w tej samej sekundzie dotarł do niej zapach kremu po goleniu. Nagle zwaliły się na nią wszystkie te odczucia, których w ciągu minionych trzech dni kategorycznie sobie zakazywała, i jeszcze bardziej rozjątrzona ruszyła za Jakiem.

- Pojedziemy samochodem terenowym - oznajmił krótko. - Droga jest miejscami dość wredna.

Sięgnął po kluczyki, wiszące na haku przy drzwiach kuchni, i kulejąc wyszedł na dwór. Zauważyła, że przy wsiadaniu skrzywił się mocno i zbladł. Najwyraźniej trudno mu było wspiąć się na wysoki stopień. Obserwowała z niepokojem, jak przytrzymując się góry kabiny, próbuje się dźwignąć.

- Weźmy mój samochód - zaproponowała. - Byłoby ci łatwiej wsiadać i wysiadać.

- Dam sobie radę. - Poszarzały z wysiłku wdrapał się na siedzenie i nachylił, żeby wciągnąć bezwładną nogę.

Był uparty - bardziej niż to sobie wyobrażała. Nie wiedzieć czemu napełniło ją to podziwem; być może dlatego, że była taka sama. Opierając się ręką na otwartych drzwiach, spojrzał na nią i uśmiechnął się krzywo.

- Zdaje się, że zapomniałem o manierach. Mam nadzieję, że mi wybaczysz, że nie wysiądę, żeby ci otworzyć drzwi.

Ten żart rozproszył jej gniew jak słońce poranne mgły. Uśmiechnęła się lekko.

- Moja babcia mawiała, że jeśli chory zaczyna być nieznośny, to niechybny znak, że zdrowieje.

- To znaczy, że jestem nieznośny.

- Również.

Potarł twarz i zrobił minę.

- Domyślam się, że chętnie użyłabyś mocniejszego słowa.

Obeszła samochód i wspięła się, chwytając za kierownicę, szczęśliwa, że dała mu powód do uśmiechu.

- Przepraszam, jeśli byłem wobec ciebie niegrzeczny - powiedział. -Ale wszystko jedno jak się czuję, muszę obejrzeć te cielaki. Robota nie poczeka tylko dlatego, że się rozbiłem.

Podał jej kluczyki. Były jeszcze ciepłe i miała wrażenie, że to ciepło przenika ją całą i dociera aż do serca. Poruszona, włożyła raptownie kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik. Samochód ruszył.

- Jak to się stało, że osiadłeś na gospodarstwie? - zapytała, żeby coś powiedzieć i przezwyciężyć rozedrganie.

Wzruszył ramionami.

- Chyba mam to we krwi. Farmerem był mój tato, jego ojciec też. Nigdy się nawet nie zastanawiałem nad jakimś innym wyborem.

Zerknęła na niego zaskoczona. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby odpowiedział, że próbował kariery aktorskiej albo innego fachu, w którym liczy się uroda. Takich przystojniaków jak on widuje się głównie w kinie albo na bilboardach.

- Mama też pochodziła z rodziny farmerskiej?

Parsknął wzgardliwie.

- A gdzie tam! Jej ojciec był dyplomatą, więc nawykła do zagranicznych wojaży, rozrywek i uroków życia wyższych sfer. Nigdy nie polubiła wsi.

- Czy to był powód, dla którego małżeństwo twoich rodziców się rozpadło?

- W gruncie rzeczy tak. Mama czuła się osamotniona i nu-

dziło jej się. Co prawda z naszego rancza do miasta jechało się zaledwie trzy kwadranse, ale niewiele to zmieniało. Chciała, żeby tato sprzedał ziemię i żebyśmy zamieszkali w mieście. Pamiętam potworne kłótnie i to, że myślałem wtedy, że to wszystko moja wina.

Sarze ścisnęło się serce.

- Tak właśnie reagują dzieci. Ciężko znoszą nieporozumienia między rodzicami.

W twarzy Jake'a drgnął mięsień.

- A jeszcze gorzej rozwód. Kiedy mama się wyprowadziła, wydawało mi się, że to koniec świata. Opiekowali się mną rozmaici krewni, ale nigdzie nie czułem się jak w domu. Ciągle myślałem, że gdybym był lepszym dzieckiem, to mama by nie odeszła.

Oderwała wzrok od drogi i popatrzyła na niego.

- A twój tato? Jak to zniósł?

- Był zawsze cichy. Po odejściu matki ścichł jeszcze bardziej. Nie wiedział, jak postępować z dzieckiem. Ożenił się po raz drugi chyba głównie z myślą o mnie... żebym miał matkę… - Uśmiechnął się ponuro. - Gorzej już nie mógł trafić.

- Czemu? To była zła kobieta?

- Nie. Tyle że nie miała dla mnie serca. Zresztą, czy to dziwne? Nie byłem jej dzieckiem. Do obcego dziecka trudno się przywiązać.

- Różnie bywa. W przedszkolu mamy dzieci, których stosunki z ojczymem czy macochą układają się doskonale.

- Możliwe, ale moja już w tym głowa, żeby Nikki nie miała podobnych zmartwień.

Stwierdził to tak kategorycznie, jakby uznał dyskusję za zakończoną. Wyczuwając, że jest rozdrażniony, skupiła się. na

jeździe i w milczeniu rozważała to, co powiedział. Uderzyło ją to, że o swoim dzieciństwie - chociaż było bolesne - mówił swobodnie, natomiast ilekroć pojawiał się temat jego żony, spinał się i zamykał w sobie. Prawdziwy powód, dla którego tak się zarzekał przed powtórnym ożenkiem, musiał więc tkwić nie tyle w urazach wyniesionych z dzieciństwa, co w jego własnym małżeństwie.

Jadąc wyboistą drogą, Sara zastanawiała się, jak to jest, gdy kocha się aż tak mocno. Czy żona Jake'a była świadoma miary jego uczuć, czy kochała go tak głęboko, jak on ją? Nagle uzmysłowiła sobie, że myśli o tym z zazdrością, i nie zdążyła jeszcze przezwyciężyć w sobie tego uczucia, gdy wskazał duży, zadaszony plac, ogrodzony drewnianymi żerdziami.

- Jesteśmy na miejscu.

Odetchnęła z ulgą i podjechała do zagrody pełnej pobekujących cieląt. O furtkę opierali się dwaj robotnicy, Hank i Buddy. Ich konie uwiązane były do słupków. Kiedy wyłączyła silnik, starsi mężczyźni uchylili kapeluszy, a ich pomarszczone twarze wygładziły się w uśmiechu. Pomachała do nich serdecznie. Co wieczór zajeżdżali do domu, żeby zobaczyć się z Jakiem. Wobec niej i Nikki byli niezwykle grzeczni, toteż dbała o to, żeby mieć dla nich zawsze poczęstunek - dzbanek świeżo zaparzonej kawy i domowe ciasteczka.

- To nie powinno potrwać długo - powiedział Jake. Wysiadanie poszło mu znacznie łatwiej niż wsiadanie.

Opuściła szybę i patrzyła, jak kuśtyka w kierunku mężczyzn.

Stali za daleko, żeby mogła słyszeć, co mówią, ale po krótkich ustaleniach Hank dosiadł konia i wjechał do corralu. Buddy pobiegł za nim. Opierając się o barierkę, Jake wskazał cielę. Hank koniem oddzielił zwierzę od stada i zapędził je do przej-

ścia. Buddy zamknął furtkę. Przez następne pół godziny zajmowali się w ten sam sposób kolejnymi cielakami. Wreszcie Jake kiwnął głową i kulejąc, przeszedł do mniejszej zagrody, w której znalazło się kilkanaście wybranych przez niego zwierząt.

Sara przyglądała się, jak przebiegał rękoma grzbiet i boki cielaka, a później podnosił mu głowę, żeby obejrzeć oczy i pysk. Robił to sprawnie, bez wahania, jak ktoś, kto doskonale zna się na rzeczy. Respekt, z jakim przypatrywali się temu dwaj starzy robotnicy, świadczył o tym, że i oni są o tym przeświadczeni. Uświadomiła sobie nagle, że zachowanie Buddy'ego i Hanka mówi o Jake'u bardzo wiele - wszak obaj prawdopodobnie już pracowali na ranczach, zanim on się urodził.

Kiedy nachylił się, żeby obejrzeć nogi cielaka, zmienił się na twarzy. Zginanie chorej nogi musiało być bolesne. W podobny sposób sprawdził wszystkie zwierzęta, pożegnał się ze swymi pracownikami uściskiem dłoni i pokuśtykał do samochodu. Wyglądał na zmęczonego i obawiała się, czy da radę wsiąść. Wyciągnął jednak z bagażnika drewnianą skrzynkę, zrzucił ją na ziemię i użył jako podpory.

- Przepraszam, że musiałaś czekać - powiedział, sadowiąc się obok.

- To nic... Nie szkodzi - wybąkała przytłoczona jego bliskością, zapachem słońca, kurzu i potu, które ze sobą wniósł, i faktem, że nie wstydził się ułatwić sobie wsiadania. Świadczyło to o tym, że nie zależało mu na opinii twardego mężczyzny. Zresztą, nie miał powodu lękać się o swój męski wizerunek. Był ucieleśnieniem męskości, najwspanialszym... Przełknęła ślinę, próbując zapanować nad swoim wprost nieprzyzwoitym zachwytem. - Przypatrywanie się temu, co robiliście, było fascynujące.

- Możliwe. - Uśmiechnął się nieprzekonany. - Tyle że ja niespecjalnie lubię się przypatrywać. Zazdrościłem Hankowi na koniu.

Z roztargnieniem uruchomiła silnik. Dzisiejszy dzień zmienił wszystko. Widziała go przy pracy... Nie mogła już sobie wmawiać, że to jest nikt, ot, kawał przystojnego byczka. Osądziła go bardzo niesprawiedliwie. Wydała się sobie nagle ograniczona i prymitywna. Zachowała się wobec niego tak samo, jak ludzie, których w duchu oskarżała o dyskryminację - oceniła go po wyglądzie.

Dręczyło ją poczucie winy, a jeszcze bardziej świadomość, że skoro Jake nie jest taki, jakiego sobie wymyśliła, to tym bardziej ją fascynuje. Z drżeniem serca objęła kierownicę, jakby to było koło ratunkowe. Wydawało jej się, że czuje na sobie wzrok Jake'a, ale oparła się pokusie, żeby zerknąć i sprawdzić, czy to prawda. Pewnie znowu coś sobie roiła. Nie czemu innemu, a właśnie bujnej wyobraźni zawdzięczała swoje bezsensowne zadurzenie, chociaż wmawiała sob,ie, że Jake to leń i w ogóle ladaco. No i co teraz będzie? Jak sobie poradzić, gdy prawda okazała się inna?

Samochodem podrzuciło mocno, kiedy skręciła w drogę prowadzącą do domu. Usłyszała tępe uderzenie i syk bólu.

Zerknęła na Jake'a z niepokojem.

- Przepraszam.

Kiwnął głową, ale jego mina wskazywała na to, że bardzo go zabolało.

- Powinienem był zapiąć pas.

- Spróbuję jechać ostrożniej.

Kiedy stanęli przed domem, odczuła ulgę.

- Otworzę ci. - Zeskoczyła na ziemię.

- Nie musisz.

Gdy mignęła mu przed maską, pomasował ramię i zaklął pod nosem. Gdyby nie gapił się na nią jak cielę na malowane wrota, dostrzegłby ten piekielny wybój na drodze. Tymczasem, mając ją obok siebie, zapominało bożym świecie. W tamtą stronę plótł jak idiota, a w drodze powrotnej w ogóle zapomniał języka w gębie. Jej obecność wybijała go z ziemskiej orbity. Wcale by się nie zdziwił, gdyby z werandy wyszedł do nich teraz jakiś kosmita i oznajmił, że właśnie wszedł w Orbitę Sennych Widziadeł. A raczej, sprostował w myślach, w orbitę zmysłów.

Uprzytomnił sobie naraz, że teraz też buja w obłokach, a ona czeka. Pokręcił z niesmakiem głową, popchnął drzwiczki i zeskoczył na lewą nogę. Zachwiał się i Sara rzuciła się, żeby go podtrzymać, osiągnęła jednak tylko tyle, że zupełnie stracił równowagę, i nagle znalazł się w jej ramionach.

- Czy... czy wszystko w porządku - szepnęła bez tchu tuż przy jego ustach.

Skąd miał to wiedzieć? Nie był w stanie zebrać myśli. Potrafił jedynie patrzeć i czuć. Gapić się w jej niesamowite, wypełnione niepokojem oczy, patrzeć, jak przy każdym mrugnięciu jej długie rzęsy dotykają szkieł. Czuł na plecach jej ręce, na twarzy oddech, jej uda na swoich. Cofnął się podniecony.

- Nic mi nie jest - powiedział, chociaż jego nierówny oddech wskazywał na coś wręcz przeciwnego, o czym mógł wiedzieć tylko on sam.

- Pomogę ci. No... - objęła go w pasie - chodźmy.

Powinien się sprzeciwić. Z całą pewnością poradziłby sobie sam. Nie umiał jednak oprzeć się pokusie jej bliskości i chociaż czuł, że postępuje niemądrze, objął ją w talii: Tak weszli do kuchni.

- Chcesz się położyć?

O tak! Poruszył grdyką.

- Troszeczkę dziś przesadziłeś. Odpoczynek dobrze ci zrobi.

Z trudem kiwnął głową i zgodził się bezwstydnie, gdy zaproponowała, że pomoże mu wejść na pięterko. Podprowadziła go do samego łóżka. Wiedział, że powinien usiąść, ale nie chciał stracić z nią fizycznego kontaktu. Na myśl o tym, że ma ją puścić, bezwiednie zacisnął dłoń na jej talii. Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami i uchwycił moment, kiedy jej zaskoczenie ustąpiło nagle czemuś zupełnie innemu. Powietrze w pokoju zionęło ogniem. Sara wstrzymała oddech i znieruchomiała z rozchylonymi ustami. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Jake przygarnął ją do siebie i pociągnął na łóżko.

Jej wargi były miękkie i gorące, słodkie i słone. Rozkwitały pod jego ustami, otwierając się i wymykając, najpierw niepewne, potem coraz śmielsze. Zaplotła mu ręce na plecach, a rozkosz, jaką wyczuwał w jej ruchach, odebrała mu rozum.

Nie były to namiętne pocałunki kobiety znającej się na seksie. Przeszkadzał jej nos, okulary, widoczny brak doświadczenia, niewiedza o sobie. Nie miała pojęcia o jakiejś tam technice ani o tym, co w nim wyzwala tą swoją otwartą żarliwością. Nigdy w życiu żaden pocałunek nie rozpalił go bardziej. Nie potrafił myśleć. Był czystą, ślepą żądzą, której pożądanie Sary wychodziło naprzeciw. Nachylił się, przypierając ją sobą, niezdolny oprzeć się pokusie jej warg i ponętnych piersi. Była cudowna, niewiarygodnie podniecająca. Intuicyjnie dostosowywała się do każdego jego drgnienia, spojrzenia, ruchu. Była nieświadomą siebie niewinną czarodziejką. Rozpalającą go do białości pokusą.

Nieświadoma. Niewinna. Dziewicza. Słowa te przebiły się do niego przez mgłę tumaniącą mu rozum. Poderwał się nagle.

- Przepraszam - wybąkał. - Sara... Ja nie... To znaczy... Spojrzała na niego, oślepiona pożądaniem.

- Nie mogę... To znaczy... Nie powinniśmy - wymruczał. Zobaczył w jej oczach zrozumienie, ale i jeszcze coś. Ból.

Poczuł się podle. Za nic w świecie nie chciałby jej urazić, a wyglądało na to, że dotknął ją do żywego. Nie do końca rozumiał czym, ale musiał to koniecznie naprawić.

- Sara... przepraszam cię - powtórzył. - No już... dobrze?

Przewróciła się na bok i usiadła na brzegu łóżka. Patrzył na jej szczupłe plecy i czuł się jak zbity pies. Niepewnie wyciągnął rękę, ale kiedy dotknął jej ramienia, podskoczyła jak oparzona.

- Posłuchaj - powiedział, przemagając się. - Nie wiem, co się ze mną stało. Nie miałem zamiaru...

Mówił już jednak do drzwi. Kiedy zamknęła je za sobą, uderzył go podmuch. Zadrżał, jakby to był powiew z Arktyki. Siedział na wygniecionej pościeli i patrzył na drzwi, wymyślając sobie od najgorszych.

- Proszę! Jeszcze tylko raz! - Nikki błagalnie wpatrywała się w Sarę, leżąc na brzuchu i podpierając głowę rękami.

Sara westchnęła. Zazwyczaj godziła się powtórzyć bajkę o księżniczce, ale tego wieczoru źle się jej opowiadało. Pogładziła małą po pleckach.

- Późno już. Starczy na dzisiaj.

- No, to opowiedz tylko zakończenie. Ten kawałek, kiedy Róża dowiaduje się, że jest piękna, najpiękniejsza.

Mało prawdopodobne, żeby jakiegokolwiek księcia zainteresowało w dziewczynie cokolwiek poza urodą, pomyślała

gorzko. Mężczyźni tacy już są. Jake na przykład... Całował ją, jakby świat miał się zaraz zawalić, póki nie otworzył oczu i nie przyjrzał się jej z bliska. W jednej sekundzie skończyły się fantazje.

Odskoczył od niej, jakby nagle urosły jej różki i wąsik.

- Panna Sara ma rację, kochanie - usłyszała nagle jego głos. - Jest późno. Chcesz, to ci poczytam książeczkę.

Nienawidziła siebie za to, że na widok Jake'a coś w niej zaśpiewało. Z największą godnością, na jaką ją było stać, podniosła się i odeszła kilka kroków. Przez całe popołudnie udało się jej go omijać, wymyśliła sobie nawet jakieś zakupy w mieście, wieczorem jednak musieli się spotkać. Wspólne usypianie Nikki stało się już bowiem zwyczajem.

Jeśli nie chciała niepokoić dziecka, musiała zachowywać się tak jak zwykle. Jake widocznie podjął tę samą decyzję. Powinna była pamiętać, że jest zbyt dobrym ojcem, żeby dopuścić do tego, by cokolwiek zakłóciło życie jego dziecka.

No cóż, skoro postanowił zachowywać się tak, jakby nic się nie stało, to proszę bardzo, ona też to potrafi. Usiadła w bujanym fotelu i z nieporuszoną twarzą słuchała, jak czyta Nikki bajkę o trzech misiach. Nie było w niej jednak spokoju. Patrzyła dziś na Jake'a inaczej, spostrzegała to, co wcześniej umykało jej uwagi. Na przykład jego spracowane dłonie. Były opalone, duże, trochę szorstkie. Teraz, gdy już znała ich dotyk, wyglądały jakby inaczej. Tak samo zarost na twarzy. Wcześniej w ogóle go nie zauważała. Trzeba było dopiero poczuć go pod palcami i dostać gęsiej skórki, gdy zakłuł ją lekko w twarz, żeby wiedzieć na przykład to, jak dzięki niemu zaznacza się dołeczek na policzku... No i usta... Obserwowała je wielokrotnie, wyobrażając sobie, jak całują. Teraz jednak, kiedy już to wiedziała, były inne.

Czuła się związana z Jakiem jak z nikim innym. Było to najważniejsze doświadczenie jej życia, coś, co otwierało oczy. Tak, tylko że on też przejrzał. Ogarnęło ją bolesne wrażenie nieadekwatności wrażeń, które z tego zbliżenia wynieśli. Ona pragnęła, żeby ten pocałunek nigdy się nie skończył. On najwyraźniej wolałby, żeby do niego nie doszło. Pociągał ją mimo swojej urody, a została odrzucona dlatego, że ona tej urody nie miała.

Poczuła ucisk w gardle. Doprawdy... Przecież o tym wiedziała. Wiedziała, że się nie podoba mężczyznom. Jake jednak jakimś cudem przebił pancerz, którym się otoczyła. Pozwolił jej uwierzyć, że... Że co? Bzdura! Nie wolno ani przez moment udawać, że życie może być inne, niż jest. Dała się zwieść, owszem, wiedziała o tym, ale ta wiedza nie zmniejszała ani trochę bólu.

- Dobranoc, skarbie. - Sara drgnęła i dopiero teraz dotarło do niej, że Jake złożył na czole Nikki ostatni pocałunek, a dziewczynka wyciąga do niej ręce.

- Panno Saro...

- Dobranoc, maleńka. - Czule pocałowała ją w policzki.

Jakiekolwiek uczucia budził w niej ojciec Nikki, to dziecko było absolutnym aniołkiem. Zwlekała z wyjściem, jak długo się dało. Poprawiła jej poduszkę, wygładziła pościel. Marzyła o tym, żeby Jake zniknął i żeby nie musiała go już dłużej oglądać. Kiedy jednak w końcu wyszła na korytarz, zobaczyła, że stoi oparty o ścianę. Spróbowała go wyminąć.

- Poczekaj... Sara... - Chwycił ją za rękę. - Musimy porozmawiać.

- Nie ma o czym.

- Jest. Czuję się jak świnia. Przepraszam cię za to, co się stało.

Na moment zacisnęła powieki. To wszystko było takie upokarzające. Nie miała o sobie wielkiego wyobrażenia, ale przecież każdy ma jakąś dumę. Wysłuchiwanie żalów z powodu czegoś, co dla niej było najwspanialszą chwilą w życiu, przerastało jej siły. Była bliska łez, ale musiała zachować chociaż resztki godności. Wciągnęła powietrze i wyprostowała się, myśląc, że najlepiej udawać, że w ogóle jej to nie obeszło.

- Nie przejmuj się. To się zdarza. O czym tu mówić?
Ściągnął brwi zdezorientowany.

- Zapewniam cię, że to się więcej nie powtórzy. To znaczy... Czuję, że sprawy między nami układają się jakoś dziwnie, ale naprawdę nie musisz mnie unikać. Obiecuję, że od tej pory będę się zachowywał jak trzeba.

- Ależ... - Machnęła bagatelizująco ręką. - Nic takiego się nie stało, naprawdę... - Wyminęła go i szybko ruszyła korytarzem. - Absolutnie nic.

Odprowadzając ją wzrokiem, czuł, że zaciska dłonie aż do bólu. „Absolutnie nic", powtórzył bezgłośnie. Czy to możliwe, żeby tamte upajające chwile były dla niej niczym? Miał ochotę pobiec za nią i zacałować ją na śmierć. Ciekawe, czy powtórzyłaby to samo? Powstrzymał się jednak, rozpostarł dłonie na ścianie i skrzywił się drwiąco. Do diabła! Tracił głowę. Przez kilka godzin wyrzucał sobie, że w ogóle do tego doszło, potem zmusił się do przeprosin, a teraz co? Gotów był lecieć i popełnić znowu ten sam błąd. Bo to był błąd! Związek z kobietą taką jak Sara mógł prowadzić wyłącznie do wiadomego rozwiązania, a musiałby chyba być idiotą, żeby jeszcze raz dać się zapędzić w podobną pułapkę. Nie zamierzał być, jak powiadają, „i

przed szkodą i po szkodzie głupi". Na samą myśl o małżeństwie zalała go gorycz. Małżeństwo... Skąd zresztą przyszło mu to do głowy? Robił sprawę z niczego. Nic ich nie łączyło. Jakiś jeden pocałunek? O Boże.

Drobiazg? Ładny mi drobiazg! Przeciągnął ręką po twarzy i odetchnął chrapliwie. Nie potrafił załgać się do tego stopnia, żeby wmawiać sobie, że to było coś bez znaczenia. Ani przez sekundę nie wierzył też w obojętność Sary. Przeciwnie, był pewien, że przeżyła to tak samo mocno jak on. Przypomniał sobie jej spontaniczność i aż mu się zrobiło gorąco. Pokręcił głową i najprędzej, jak pozwalała na to chora noga, pokuśtykał korytarzem. Należało o wszystkim zapomnieć. Udawać, że nic się nie stało. Mocniej niż trzeba zatrzasnął za sobą drzwi sypialni, myśląc, że to samo trzeba będzie zrobić z całą tą głupią sprawą. Jak na ironię przypomniało mu się od razu, że wcześniej identycznie jak on potraktowała te drzwi Sara.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Możemy siać! - zawołała Nikki. Sara odwróciła głowę. Dziewczynka uniosła rozpromienioną buzię znad świeżo skopanej grządki i nie podnosząc się z kolan, pokazała palcem rządek nierównych dołków. - Wykopałam dołki, widzisz? - Odgarnęła włosy z oczu wybrudzoną ziemią rączką, jeszcze bardziej mażąc sobie twarz.

- Dobra robota! Zaraz przyniosę torebki z nasionami i konewkę. Poczekaj, zostawiłam je na dziedzińcu.

Jak dobrze, że są weekendy, myślała. Raz, że przez cały dzień mogła mieć przy sobie Nikki, a dwa, że nie pozwalało jej to bezustannie myśleć o Jake'u. Od tamtego kłopotliwego wydarzenia oboje starali się nie wchodzić sobie w drogę, a kiedy już musieli ze sobą rozmawiać, był taki oschły, że myśl o tym, iż kiedykolwiek mogła budzić w nim zainteresowanie, wydawała się jej wprost niedorzeczna.

Nawet moje staranie o dom go nie obchodzi, myślała ze złością, ściągając ogrodowe rękawiczki i ocierając wierzchem dłoni spocone czoło. Pokazała mu kilka wzorów tapety do kuchni i pokoiku Nikki, ale ledwie raczył na nie spojrzeć.

- Mogą być - stwierdził. - Zgadzam się na wszystko, co wybierzesz.

Podobnie brzmiały odpowiedzi na pytania dotyczące posiłków Czy prania. Zgadzam się, w porządku, jak sobie życzysz.

Jednym słowem -rób, jak chcesz. Najwyraźniej nie chciał, żeby zawracała mu głowę domowymi sprawami, chyba że wiązały się z Nikki. Tam, gdzie chodziło o jego dziecko, był chodzącą dobrocią. Czemu nie potrafił być taki serdeczny również dla niej?

Głupie pytanie, obruszyła się, wsuwając dwie torebki nasion do kieszeni za luźnych dżinsów. Była dla niego wyłącznie gosposią i przedszkolanką, opiekunką do dziecka. Tamten pocałunek był zwykłą niedorzecznością - słabością w chwili, gdy najprawdopodobniej naszły go dawne wspomnienia. Unikając go, postępowała słusznie, chociaż - ze względu na charakter jej pracy - nie zawsze było to możliwe.

Wczoraj na przykład musiała go zawieźć na zdjęcie szwów. Jadąc do miasta, rozmawiali głównie o pogodzie i lokalnych politykach. Droga powrotna upłynęła nieco mniej drętwo. Mówili o filmach, książkach, muzyce, ale napięcie było takie silne, że o mało nie wyskoczyła ze skóry. Waliło jej serce, pociły się ręce, trudno jej było oddychać, a co dopiero myśleć.

To wszystko nie miało już jednak potrwać długo. Lekarz stwierdził,, że Jake już wkrótce będzie mógł żyć normalnie. Bark zdrowiał, noga goiła się prawidłowo. A zatem —nic tu po niej. Od trzech dni skoro świt Buddy zabierał go swoją ciężarówką na ranczo. Wracał dopiero na kolację. Wkrótce też miało się ukazać ogłoszenie w sprawie pomocy na stałe. W ciągu kilku dni ktoś na pewno się zgłosi, wobec czego przed końcem następnego tygodnia trzeba się będzie zbierać... Powinna się z tego cieszyć, a nie wiadomo; dlaczego strasznie ją ta myśl przygnębiała. To chyba przez tę głupią bajkę, pomyślała. Powtarzała ją Nikki tyle razy, że w końcu sama w nią uwierzyła.

- Tatko!

Sara wyprężyła się jak struna na widok Jake'a wyłaniającego się zza domu. Utykał jeszcze, ale z każdym dniem mniej.

- Chodź, zobacz! - Nikki przysiadła na piętach i pomachała umazaną ziemią ręką. - Robimy z panną Sarą ogródek. Będą warzywa i kwiatki. Sama wykopałam dołki!

Podszedł do dziewczynki i zerknął na Sarę.

- Nic mi nie wspominałaś o ogródku.

O matko! Po jego minie poznała, że nie jest zadowolony.

- To świetna lekcja przyrody... Grządka i tak już tu była. Nie sądziłam, że będziesz temu przeciwny.

- Ale jestem. Tak się składa... - Nagle zdał sobie sprawę z tego, że bzdurzy, i jeszcze bardziej go to rozjątrzyło.

Nie chodziło o jakiś tam ogródek, ale o to, że Sara coraz mocniej wchodziła w jego życie. I była to wyłącznie jego wina. Powinien był narzucić jej ograniczenia, ale po to, żeby to zrobić, musiałby się z nią częściej kontaktować. Wolał jednak nie ryzykować. Nie ufał sobie. Poza tym prowadziła dom wprost genialnie, a Nikki nigdy jeszcze nie wydawała się taka szczęśliwa i ufna.

Ale ogród... Ogród to coś trwałego, a wszelka myśl o czymś trwałym, związanym z osobą Sary, niepokoiła go. Miała tu zostać jeszcze tylko niewiele ponad tydzień. Już teraz zastanawiał się, jak sobie - i on, i Nikki - bez niej poradzą. Ktokolwiek by tu przyszedł na jej miejsce, będzie zaledwie marną namiastką.

- Nie zdradzałeś szczególnego zainteresowania sprawami domu, więc po co ci miałam zawracać głowę czymś takim -powiedziała zbuntowanym tonem. - A jak widzisz, Nikki jest cała za.

Na twarzy Jake'a pojawił się taki sam upór.

- Ogród wymaga pracy. Nie mam czasu na takie brewerie...

- Ja będę się nim opiekować, tatku. -Nikki wyszła za nimi na dziedziniec. - A panna Sara mi pomoże.

Spojrzał znacząco na Sarę, po czym zwrócił się do córki:

- Panna Sara, kochanie, niedługo wróci do siebie.

- Ale będzie nas odwiedzała, prawda?

A niech to! Co miał odpowiedzieć? Sara postawiła konewkę i pogładziła dziewczynkę po plecach.

- Będziemy się codziennie widywały w przedszkolu, ale na pewno wasza nową gosposia pomoże ci utrzymać ogródek.

Jake parsknął.

- Mam znaleźć kogoś, kto prócz prowadzenia domu i zajmowania się dzieckiem weźmie na siebie jeszcze pielenie grządek? Ciekawe, skąd twoim zdaniem wezmę taki wzór cnót?!

Sara patrzyła na niego tak łagodnie, że doprowadzało go to niemal do szału.

- Ogródkowi trzeba poświęcić kilka minut w tygodniu. Jeśli jednak twoją gospodyni nie będzie mogła czy chciała się nim zajmować, to z miłą chęcią wpadnę w weekendy.

- No właśnie, tatku - ucieszyła się Nikki. - Mówiłam ci, że panna Sara pomoże.

No właśnie! Tego tylko brakowało, żeby ta aż drażniąco dobra, mądra baba zwalała mu się co weekend na głowę, kiedy wreszcie pozbędzie się jej z domu. Jeśli będą się widywać, to jakim cudem miałby o niej zapomnieć? Po co, jak ostatni kretyn, się z nią całował? Wpiła się w jego myśli jak kleszcz... Ale to była jego wina, nie jej. I to był jego problem - a nie Nikki. Do diabła! - denerwował się. Co ja robię? Powinienem jej okazać wdzięczność, a zachowuję się tak, jakbym chciał ją ukarać. Za co? Za to, że była niezastąpiona? Za cudowny kontakt z dzieckiem? Za to, że jest ciepła, miła... że jej pragnę?!,

Ogarnęło go poczucie winy. Należało coś z tym zrobić, i to szybko. Nie miał prawa traktować jej jak cham, tylko dlatego że nie radził sobie ze sobą. I nie miał prawa z powodu własnych frustracji pozbawiać córki paru grządek.

Przeczesał palcami włosy i westchnął ciężko.

- Jakoś to sobie ułożymy - wymruczał. - W końcu ogródek to dobra rzecz.

Nikki rozpromieniła się i odgarniając spadające na oczy włosy, jeszcze bardziej usmarowała się ziemią.

- Przydałby ci się fryzjer, ty trzpiocie. - Odsłonił jej czoło i spojrzał na Sarę. - Nie wiesz przypadkiem, gdzie by ją tu zaprowadzić?

- Wiem. Jeśli chcesz, zawiozę ją jeszcze dziś. I tak miałam się wybrać do miasta, a jak już będę w sklepie, to poproszę o wzory tapet do twojej łazienki. Chcesz?

- Świetnie. - Perspektywa pozbycia się jej na kilka godzin wydała mu się niezwykle frapująca. Gdybyż tak samo łatwo dało się o niej w ogóle zapomnieć!

- Niech no tylko tatko zobaczy nasze fryzury! - zawołała Nikki. - Ale się zdziwi!

Nie bardziej niż ja, pomyślała Sara, podjeżdżając pod dom. Do tej pory sama nie wiedziała, jak to się właściwie stało. Fryzjerka zauważyła, że byłoby jej ładnie w dłuższej wersji lekko ścieniowanej fryzurki Nikki, a potem... znalazła się w fotelu. Nie miała pojęcia, dlaczego się zgodziła. Zrobiła to zupełnie bez zastanowienia.

Teraz jednak czuła się nieswojo. Zerknęła w boczne lusterko. Zdumiewające, jak fryzura może zmienić kształt twarzy i jej wyraz. Wyglądała teraz młodziej, swobodniej, mniej zasadniczo, ale... co powie Jake?

O matko! Może pomyśli, że to dla niego? A nie? O matko! Kiedy, wykładając sprawunki w kuchni, usłyszała jego kroki, poczuła, że ma serce w gardle. Kroki ucichły.

- Widzisz, tatku - zachichotała Nikki - mówiłam ci, że panna Sara ma teraz takie same włosy jak ja.

- Zmieniłaś fryzurę - powiedział niepotrzebnie, nie ruszając się z miejsca.

- Podoba ci się? - Słowa wymknęły się jej same, nim zdążyła ugryźć się w język. Wystraszona, odwróciła się, otworzyła lodówkę i wrzuciła do pojemnika kapustę. Najchętniej włożyłaby tam swoją kapuścianą głowę. Trzeba być głąbem, żeby zadawać takie pytania.

- Szczerze mówiąc, bardzo.

Jego głos miał dziwne, niskie brzmienie. Poczuła, że krew uderza jej do głowy.

- Ja... No wiesz, pomyślałam, że łatwiej w takiej fryzurze pracować. Nie trzeba pamiętać o spinkach, i w ogóle... od czasu do czasu dobrze jest coś w sobie zmienić, więc...

- Wyglądasz naprawdę ślicznie.

Sara znieruchomiała. Zrobiła się czerwona jak pomidor na puszce, którą właśnie wzięła do ręki, po czym szybko odwróciła twarz. Zdążył jednak zauważyć, że jej oczy zabłysły jak oczy dziecka przed Wigilią, i niezmiernie go to poruszyło. Nie znał kobiety, którą aż tak ucieszyłby taki zwyczajny komplement. Czy naprawdę było to dla niej takie niezwykłe? Nagle przypomniał sobie to, co opowiadała o krytycyzmie swojej matki i o narzeczonym. Było nad czym się zastanawiać... Jedno tylko nie pozostawiało w nim najmniejszych wątpliwości - po tysiąckroć wolał widzieć w oczach Sary błysk szczęścia niż zmarszczkę na czole, pojawiającą się zawsze, ledwie wszedł do pokoju.

Całe popołudnie żałował swego oschłego zachowania i próbował wymyślić coś, co by oczyściło atmosferę. Nagle zdecydował się. Uszczypnął lekko Nikki.

- Mam pewien pomysł. Chciałbym zaprosić obie piękne panie na kolację. Pannie Sarze należy się taki wieczór...

Nikki zaczęła podskakiwać.

- Pojedziemy na pizzę, na pizzę!

- Myślałem raczej o restauracji... tej, którą mijamy, jadąc autostradą... Nie pamiętam nazwy. - Spojrzał na Sarę.

- U Freddiego.

- Waśnie. Co wy na to?

- Czy podają tam jedzenie dla dzieci? - spytała Nikki.

- Na pewno znajdzie się coś, co lubisz.

Sara zawahała się.

- Jedźcie sami. Ja zostaję.

O, nie, pomyślał. Nie wymknie mu się teraz, tak jak uciekała przez cały tydzień. Postanowił wynagrodzić jej swoje złości. Chciał, żeby to zrozumiała. Poza tym miał na nią haka.

- Nie da rady. Ktoś musi prowadzić. Lekarz nie pozwolił mi jeszcze jeździć samemu.

Pół godziny potem wszyscy troje siedzieli w kabinie samochodu terenowego. Sara miała na sobie luźną błękitną sukienkę, której kolor podkreślał jej oczy, a Nikła kokardę we włosach. Zarówno podczas jazdy, jak i w restauracji, dziewczynce nie zamykała się buzia. Jake cieszył się w duchu, że większość jej uwag nie wymaga odpowiedzi, bo słuchał jej z roztargnieniem, skupiony całkowicie na Sarze.

Podobał mu się sposób, w jaki egzekwowała od Nikki grzeczne zachowanie przy stole, nie łając jej jednocześnie, i śmiech, jakim reagowała na jego żarty. Jej grzywka nad czołem, której

odruchowo dotykała, sposób jedzenia, trzymania widelca... Do licha! Wszystko mu się w niej podobało! Zrezygnowała ze swego normalnego życia, żeby pomóc mu w trudnej sytuacji, a zachował się jak ostatni niewdzięcznik. Należały jej się przeprosiny.

Okazja po temu nadarzyła się jeszcze tego samego wieczoru, gdy po położeniu Nikki wyszli razem na korytarz. Spojrzeli na siebie i w tym samym momencie poczuł przebiegającą przez całe jego ciało iskrę. Sara odwróciła wzrok.

- Dziękuję za miły wieczór - bąknęła, nerwowo skubiąc rękaw.

- To ja ci dziękuję. I nie tylko za tę kolację, ale za wszystko. Uratowałaś nas. Wiem, że mam niełatwy charakter, i chciałbym cię za to przeprosić.

Uśmiechnęła się do niego oczami.

- Trudno być miłym, gdy coś nam dolega.

Był jej wdzięczny za to, że pozwoliła mu tak łatwo wybrnąć z sytuacji. Większość kobiet, jakie znał, wypominałaby mu niewłaściwe zachowanie całymi miesiącami, wykorzystując to, że się przyznał.

- To prawda, że nie bardzo interesowałem się domem. Miałem sporo pracy na ranczu... jakoś to wszystko trzeba zacząć. Ale może chcesz, żebym ci w czymś pomógł? Może trzeba zawiesić półki albo firanki? Przydam się?

Milczała przez chwilę zaskoczona.

- Owszem - przyznała z uśmiechem. - Zamówiłam tapety do kuchni i do pokoju Nikki, ale do swojego musisz wybrać sam. Nie mam pojęcia, co by ci się mogło podobać, a sypialnia to takie miejsce... - Umilkła, jakby ten temat ją żenował. - W kuchni są katalogi. Przejrzyj je, proszę.

Święty Boże, znowu się czerwieniła! Jest naprawdę niewinna, pomyślał dziwnie uradowany i kiwnął głową w stronę kuchni.

- No, to chodźmy.

Usiedli obok siebie przy dębowym stole. Wolałby co prawda czytać w jej twarzy, niż oglądać wzory tapet, ale kiedy otworzyła gruby katalog, zmusił się do uwagi. Wybór był ogromny.

- Sam już nie wiem... Co proponujesz? - powiedział, odwracając kciukiem kolejną kartkę.

- Może wybierz najpierw sam kolor.

- Lubię wiele kolorów.

- Ale zastanów się... Jest na pewno taki, który poprawia ci samopoczucie.

Kolor twoich oczu, pomyślał, ale tego nie mógł jej przecież powiedzieć. Wzięła jego wahanie za brak zdecydowania.

- Czy jest jakiś kolor, który ci się miło kojarzy? - podsunęła.

Tak. Milczał. Kolor twoich ust.

- A może taki, który ci kogoś przypomina? Jaki był ulubionykolor twojej żony?

Wspomnienie Clarissy podziałało na niego jak kubeł zimnej wody. Wyprostował ręce na stole.

- Za diabła nie wiem. A gdybym nawet wiedział, to nigdy bym go nie wybrał.

W oczach Sary odbiło się zakłopotanie.

- Przepraszam. Wiem, że bardzo ją kochałeś i że ci jej brakuje. Pomyślałam, może głupio, że jej ulubiony kolor dodałby ci otuchy. Przepraszam... - Pochyliła się i nakryła jego rękę dłonią.

Nagle poczuł się jak oszust. Odsunął się od stołu tak raptownie, że aż krzesło zazgrzytało o podłogę. Przeczesał ręką włosy i wstał.

- Masz zupełnie niewłaściwe wyobrażenie na temat mojego małżeństwa. - Podszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. - Nie chcę, żeby Nikki wiedziała. Była maleńka, niczego nie pamięta, niech myśli o swojej matce jak najlepiej.

- Nie chcesz, żeby wiedziała... ale o czym?

- Zaraz... - Wspomnienia, nieprzyjemne i szorstkie jak mokra końska derka, przygniotły go swoim ciężarem. Nabrał powietrza. - Moje małżeństwo nie było takie idealne, jak to sobie chyba wyobrażasz. Ożeniłem się, bo Clarissa zaszła w ciążę, a nie dlatego, że ją kochałem. Wstyd powiedzieć... nawet dobrze jej nie znałem. Tak czy owak, starałem się zachować przyzwoicie. Robiłem, co mogłem, żeby była szczęśliwa. Zawsze mi się wydawało, że dziecko powinno mieć oboje rodziców, więc zdecydowałem się na małżeństwo i wierz mi, starałem się... - Wsunął ręce do kieszeni i zaczął chodzić, utykając bardziej niż przez cały dzień, jakby wręcz pragnął, aby ten zwykły ból coś w nim zagłuszył. - Ale nic się nie układało. Myślę, że Clarissa nienawidziła mnie za ciążę. Kiedy urodziła, bardziej się interesowała odzyskaniem figury niż dzieckiem. Nie cierpiała Nikki za to, że odebrała jej wolność... - Przełknął gorycz, odetchnął głośno i oparł się o kuchenny zlew. - Zginęła w katastrofie awionetki razem z moim najlepszym przyjacielem... Musiałem zidentyfikować ciała... Przez cały czas zastanawiałem się co ona w tym samolociku w ogóle robiła... - Przerwał, czując, że gardło wyschło mu na pieprz, wyjął szklankę z szafki, nalał sobie wody z kranu i wypił duszkiem. - Dopiero wieczorem, kiedy wróciłem do domu, wszystko się wyjaśniło. Na poduszce znalazłem list od Clarissy. Pisała, że odchodzi z moim serdecznym druhem, że zostawia i mnie, i Nikki.

- Och...-Sara zakryła ręką usta.

- No, to już wszystko wiesz... - Jake'owi mieniła się twarz. - Wszyscy moi sąsiedzi też się dowiedzieli. Głównie dlatego się stamtąd wyniosłem. Bałem się, że Nikki jest już w takim wieku, że mogą do niej dojść plotki.

Sara podniosła się i ze łzami w oczach dotknęła jego ramienia.

- Jak ona mogła? - szepnęła. - Przecież Nikki była takim maleństwem.

Zacisnął i wyprostował dłonie.

- Tysiąc razy zadawałem sobie to pytanie. A jeszcze częściej zastanawiałem się, czy mogłem zrobić coś, żeby do tego niedoszło...

Pogładziła go po włosach niczym małe, cierpiące dziecko.

- Nie dręcz się - powiedziała miękko. Wzruszył ramionami, patrząc przed siebie. - To nie twoja wina, naprawdę. - Stał jak zahipnotyzowany, sycąc się jej pewnością i serdecznością. – Nikki pokazała mi fotografię. Clarissa była bardzo, bardzo piękna.

Z charakterystyczną delikatnością Sara podpowiedziała korzystne dla niego wytłumaczenie całej sprawy. Podsuwała to, co i tak wiedział - że jego śliczna żona była pustą lalką. I właśnie tego nie potrafił sobie wybaczyć - że związał się z kimś takim. W jego mniemaniu stanowiło to jeszcze jeden dowód na to, że nie powinien się wiązać. Nie- chciał, znając siebie, przeżywać kolejnego niepowodzenia i ryzykować, że unieszczęśliwi kolejną kobietę.

- Jaka ona była?

- Piękna, tak jak powiedziałaś. - Nie odrywając wzroku od tapety, pozwolił, by wróciły wspomnienia. - Gdyby jeszcze umiała wlać w tę urodę serce... Ale tego zabrakło. Była egoistką, zapatrzoną w siebie egoistką. Była zimna... Nie taka jak ty.

W oczach Sary zapaliło się nagle coś więcej niż współczucie.

Poczuł, że nie może oddychać ani myśleć. Wiedział jedynie to, że chce, że musi mieć ją blisko, jeszcze bliżej. Że pragnie zobaczyć ją taką, jaką ją Pan Bóg stworzył, żeby nie było między nimi żadnych barier, niczego, co by tworzyło dystans. Wyciągnął rękę i zdjął jej okulary. Wstrzymała oddech.

- Widzisz mnie? - spytał.

Kiwnęła głową.

- Jestem... jestem krótkowidzem - powiedziała słabym, rozedrganym głosem, cofając się o krok.

- No, to nie powinnaś się oddalać. - Przyciągnął ją do siebie. - Nigdy nie widziałem oczu piękniejszych niż twoje. Są takie dobre, ciepłe, ofiarne...

Przesunął kciukiem po łuku brwiowym i zsunął palce na policzek, mając wrażenie, że dotyka płatka róży. Sarze zapłonęły oczy. Wpatrywał się w jej wargi, spragniony pocałunku, ale bał się ją urazić, wiedział, że tak się stanie, gdyż później nie potrafi się powstrzymać. Należało to przerwać, kiedy jeszcze był w stanie zapanować nad sobą. Odsunął się więc, ale nie mógł nie zauważyć jakiegoś żalu, który nagłe pojawił się w jej oczach.

A niech to! Przeciągnął ręką po twarzy. Może najsensowniej byłoby powiedzieć jej całą prawdę.

- Sara... - Wciągnął powietrze. - Chcę z tobą być. Kochać się z tobą całą noc...

W jej oczach zobaczył takie uniesienie, że najchętniej zamiast mówić, porwałby ją na ręce i przeniósł do swojej sypialni.

- Ale widzisz... - dodał, przemagając się -ja nie wierzę ani w miłość, ani w małżeństwo, a ty bez tego nie potrafisz być szczęśliwa. Nie znam szczęśliwych małżeństw, widziałem za to kilka kompletnie nieudanych. Wierz mi, nie ma nic gorszego.

Nie chcę już przez to przechodzić. Nie chcę narażać na cierpienie ani siebie, ani Nikki, ani nikogo.

To, co mówiły jej oczy, rwało jego postanowienie na strzępy.

Kochaj mnie, prosiły. Nie obchodzi mnie nic.

Teraz tak myśli, ale co potem? Rano nie będzie jej to obojętne. Nie potrafi potraktować tego lekko. To nie w jej stylu... Nie zamierzał też sam siebie oszukiwać. Nie umiałby kochać się z Sarą i nie zaangażować się uczuciowo jeszcze bardziej. Zsunął dłonie z jej twarzy na ramiona i ręce;

- Zasługujesz na mężczyznę, który pokocha cię całym sercem, aja,;Saro, nie mam już całego serca do dania - powiedział, walcząc z pokusą, żeby znowu porwać ją w objęcia i całować do białego rana. - No to - przełknął - wiesz już, jak sprawy stoją i chyba najlepiej będzie, jeśli pójdę do siebie, nim zrobię coś, czego oboje będziemy żałować.

Odprowadziła go wzrokiem, a kiedy wyszedł, z mocno bijącym sercem opadła ciężko na krzesło; Kręciło się jej w głowie od różnych myśli, lecz jedna wracała jak echo. „Chcę z tobą być - powiedział. - Pragnę cię, Saro". I ja cię pragnę, Jake – wołało jej serce.

Nie powiedział jej tego nigdy żaden mężczyzna. Nigdy nie czuła się pociągająca ani kobieca; nie wiedziała, że może budzić pożądanie. Tę świadomość ofiarował jej dopiero Jake. Czy w ogóle zdawał; sobie sprawę, co to dla niej znaczyło?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Założyła soczewki i cofnęła się od lustra, mrugając. Widziała siebie wyraźnie, ale prawie się nie poznawała. Bez okularów i w nowej fryzurze wyglądała inaczej niż zwykle. Czy to jeszcze ja? - myślała, przeczesując grzywkę. Wieczorna rozmowa z Jakiem sprawiła, że patrzyła dziś na siebie jego oczami. A w jego oczach była warta grzechu! Ten najwspanialszy, najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek poznała, powiedział jej to wprost.. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe!

Myślała o tym cały wieczór i całą noc. Około północy, nie mogąc zasnąć, wstała i pojechała do swego domu. Szybko wyjęła z szafy jakieś ciuchy, chwyciła saszetkę z dawno zapomnianymi kosmetykami, które podarowała jej matka, i pudełeczko z soczewkami kontaktowymi i instrukcją, jak je zakładać. Wróciła na ranczo z jakimś szalonym, nie do końca sprecyzowanym pragnieniem, żeby wreszcie naprawdę się odmienić.

Teraz jednak obleciał ją strach. Nie mów hop, póki nie przeskoczysz, zadrwiła z siebie, gasząc światło w łazience. Nie odważyła się zmienić w sobie nic poza tym, że założyła szkła kontaktowe. Nie starczyło jej nawet konceptu, żeby się trochę umalować.

Ruszyła w stronę kuchni, dodając sobie w myślach odwagi. Niby dlaczego nie miałaby założyć tych soczewek? Kupiła je długo przed poznaniem Jake'a Mastersa i naprawdę widziała

w nich wyraźniej. Miała więc prawo je nosić. Nie było żadnego powodu do zdenerwowania. Absolutnie żadnego!

Przystanęła przed drzwiami, czując, że ogarnia ją panika.

O matko! Co jej się w ogóle ubzdurało. Okulary były jej niezbędne; Dawały poczucie bezpieczeństwa, tworzyły pewien dystans, a przede wszystkim nie czułaby w nich, że próbuje być atrakcyjna. O nie, nigdy! Chyba naprawdę zwariowała! Zrobiła w tył zwrot i nagle zderzyła się z Jakiem. Chwycił ją za ramiona.

- Przepraszam.

Zakręciło się jej w głowie i minęła chwila, nim podniosła oczy zarumieniona. Bez okularów czuła się tak, jakby była naga.

Jake przyjrzał się jej i ściągnął brwi.

- Szukasz okularów? Położyłem je chyba na stole.
- Na stole? - powtórzyła jak echo.
- Tak mi się zdaje... - Poruszył się niepewnie. - Pójdę zobaczyć.
- Jake! - zawołała za nim. - Ja... wiem, gdzie są.

Odwrócił głowę zdziwiony.

- Wiesz?
- Tak, tylko że... Założyłam dziś soczewki.
- To ty je masz?
- Prawie od roku... - Zaczerwieniła się jeszcze mocniej, próbując znaleźć usprawiedliwienie faktu, że skorzystała z nich właśnie dziś. -Moje okulary… Coś się w nich poluzowało i ciągle mi spadają na nos. Będę musiała oddać je do naprawy.
- Wyglądasz tak ładnie...

Poczuła się jak w niebie, ale nie chcąc, żeby widział, jakie wrażenie zrobiła na niej ta uwaga, szybko weszła do kuchni.

- Przygotuję śniadanie. Pewnie jesteś głodny.

- Prawdę mówiąc, jadłem już.

- Jak to? Przecież nie ma jeszcze nawet szóstej, a dzisiaj niedziela.

Wzruszył ramionami.

- Zawsze wstaję z kurami. - Nie mógł jej powiedzieć, że przesiedział prawie całą noc, zbyt pobudzony, żeby spać. Otworzył szafkę i wyjął z niej patelenkę. - Nikki też już się obudziła. Bawi się u siebie lalkami. Miałem właśnie smażyć dla niej jajecznicę. Tobie też zrobić?

- Nie, nie, dziękuję - powiedziała szybko. - Pozwól, to należy do mnie. - Sięgnęła po patelnię, ale odsunął ją spod jej ręki.

- Lubię pitrasić, kiedy mam na to czas.

Wyjął z lodówki jajka, mleko i maselniczkę i zamknął drzwi łokciem.

- Niedzielne śniadanie przygotowywałem zazwyczaj ja. Nasza gosposia miała w niedzielę wychodne. - Zerknął na nią. -Ty też powinnaś wziąć sobie wolne. Mogę już przecież jako tako zająć się domem.

Gdyby pozbył się jej na kilka godzin, udałoby mu się może stłumić w sobie pożądliwość. W jej obecności było to niemożliwe. Wczoraj wieczorem powiedziałem wszystko, co należało powiedzieć, myślał, sięgając do szuflady po widelec. No, więc czemu pokazuje mi się rano bez okularów? Do licha! Gdyby jej nie znał, podejrzewałby, że próbuje go czarować.

- Au! - Szuflada przycięła mu palec. Wyciągnął dłoń i pomachał nią, posykując i z trudem powstrzymując się przed tym, żeby głośno nie zakląć,

- Lód, szybko! -Sara poderwała się z krzesła.

- Co się stało, tatuś? - W drzwiach pojawiła się Nikki.

- Nic. Przyciąłem sobie palec szufladą.

- Dlaczego?

Bo rzuciło mi się na mózg, pomyślał i zacisnął zęby.

- Co dlaczego? Oj, zwyczajnie!

- Musisz poprosić pannę Sarę, żeby pocałowała cię tam, gdzie boli. Zaraz ci się zrobi lepiej.

Gdybym ją poprosił, żeby pocałowała mnie tam, gdzie naprawdę powinna, byłoby ze mną jeszcze gorzej, pomyślał ze złością. Właśnie przez takie kretyńskie myśli nie wyspałem się i jestem jak łamaga.

Sara podała mu plastikowy woreczek z lodem. Owinął go sobie wokół palca. Szkoda, że nie gdzie indziej, zakpił z siebie w myślach. Przydałoby się.

- Dziękuję - wymruczał i odwrócił się do wpatrzonej w niego Nikki. - Już dobrze.

- Panna Sara i tak zrobiłaby to lepiej - stwierdziła poważnie i zerknęła na swoją opiekunkę. - Ojejku! Nie masz okularów.

- Tak. Założyłam szkła kontaktowe.

- Co to są kły taktowe?

Sara wybuchnęła śmiechem.

- Nie kły, tylko szkła, soczewki, takie coś, co się zakłada bezpośrednio na gałkę oczną,

- Czy to cię boli?

- Nie. Dopasowywał je lekarz, więc nie mogą boleć.

- To dobrze, bo ładnie ci w nich. Wybierasz się do miasta?

Sara zawahała się.

- Zamierzałam pójść do kościoła.

- A tatuś i ja też możemy? Kiedyś chodziliśmy do kościoła. Musiałam wkładać sukienkę... Ale dawno już nie byliśmy.

Prawda, pomyślał z poczuciem winy. Przestał zaprowadzać

ją do kościoła, ponieważ nie mógł już znieść plotkarzy i wścibskich oczu. Tak, ale teraz, kiedy się przeprowadzili, nie było wymówki. Powinien znaleźć dobry kościół i praktykować regularnie. Wyznanie było mu właściwie obojętne. Kościół, do którego należała Sara, po prostu musiał być dobry. Życzyłby sobie, żeby Nikki wyrosła na kogoś takiego jak ona - na kobietę uprzejmą, pracowitą, życzliwą ludziom... A i tobie, stary koniu - myślał o sobie i o tym, co się z nim ostatnio działo - nie zaszkodziłoby pokajać się trochę przed Bogiem. Poza tym wyjście z domu mogło mu zrobić jedynie dobrze. Unikanie Sary nie miało sensu. Doprowadzało go tylko do jeszcze większego rozdrażnienia.

Odwinął opatrunek z palca.

- Dobry pomysł z tym wyjazdem do kościoła - powiedział.

- Oczywiście pod warunkiem, że nie przeszkadzałaby ci nasza obecność.

- Skądże znowu! Jak moglibyście przeszkadzać.

Ogarnęła ją radość, ale i niepokój. O matko! Przecież wcale nie planowała wyjścia do kościoła. Wymyśliła to na poczekaniu.

I jak się ubrać? W Oak Grove, w niedzielę, ludzie wkładali na siebie co mieli najlepszego, a jedynym odświętnym strojem, jaki zabrała na ranczo, były dwie sukienki - błękitna i ciemnoróżowa, którą dostała w prezencie od matki. Ta ostatnia jednak była szczuplejsza i żywsza w kolorze od wszystkiego, co na ogół nosiła. Zabrała ją z szafy ubiegłej nocy, gdy opętała ją myśl o podobaniu się Jake'owi. Powiedział, że jej pragnie... Och... Czemu to właściwie miałabym nie włożyć tej sukienki? - pomyślała z dezynwolturą. Jest nie w moim stylu, to fakt, ale nie jest niestosowna. Ma co prawda dekolcik, lecz nie aż tak duży, żeby go uznać za nieprzyzwoity. Jest krótka, ale nie mini,

obcisła, owszem, ale bez przesady. Niczyich oczu nie urazi. Tylko że... nie pasuje do mnie. A może?

Jake rozejrzał się niepewnie, powstając razem z innymi na psalm kończący mszę. Dwie siwowłose staruszki siedzące w najbliższych ławkach przyglądały mu się otwarcie, a z drugiego rzędu odwracała do nich głowy jakaś rodzina. Sara uśmiechnęła się i dyskretnie pomachała ręką.

W zgrabnej, podkreślającej figurę różowej sukience pociągała go jak nigdy. Nawet sobie nie wyobrażał, że może się z nim dziać coś podobnego. Jeśli jeszcze niedawno sądził, że wyprawa do kościoła ostudzi jego żądze, to grubo się pomylił. Nie mógł oczywiście wiedzieć, że zostaną sami, bo Nikki pobiegnie z koleżankami z przedszkola na mszę dla dzieci, która odbywała się w oddzielnej kaplicy. Nie spodziewał się także, i tego, że całe zgromadzenie będzie się im przypatrywało z tak jawną ciekawością.

Sara otworzyła śpiewnik i wysunęła go przed siebie, żeby mogli korzystać z niego oboje. Przysunął się bliżej, podtrzymując okładkę, i stało się to, czego właśnie się obawiał. Za każdym odwróceniem strony czuł odurzającą go całkowicie, delikatną woń perfum Sary. Co gorsza, z tak bliska widział jej dekolcik. Sukience nie można było nic zarzucić, ale z tej jednej, jedynej perspektywy, jaką miały jego oczy, odsłaniała aż za wiele. Wbrew najlepszym chęciom nie był w stanie skupić uwagi na tekście dziękczynnego psalmu, bo jego wzrok umykał stale ku największym cudom tego świata - piersiom Sary. Emocje zatem nie tylko nie ochłodły, ale po prostu go rozpierały. Czuł, że Sara i on zwracają sobą uwagę, a z częstych, wymownych spojrzeń podczas mszy wnioskował, iż podczas wszystkich niedzielnych obiadów w całym miasteczku będą tematem numer jeden.

Przed wejściem do kościoła zaskoczyła go liczba osób witających się z Sarą. Odniósł wrażenie, że nie tylko znała w Oak Grove wszystkich, ale także w ten czy inny sposób im pomagała. Pewna kobieta dziękowała jej za gulasz podesłany w czasie choroby, inna za uszycie pięknego stroju na szkolną zabawę, a jeszcze inna obiecywała, że jak tylko znajdzie pracę, zwróci jej pieniądze za bezpłatną opiekę nad dzieckiem. A zatem, nagle uświadomił sobie, Sara była aniołem nie tylko dla niego. Nie wiedzieć czemu drażniła go ta świadomość. To nie w porządku, myślał poirytowany. Z jakiej to niby racji ci wszyscy obcy ludzie mieliby wykorzystywać jej dobroć? Z jakiej racji miałaby im poświęcać tyle czasu i energii? Jeszcze czego! A ja? Żachnął się, rozjątrzony własnymi pretensjami. Sara miała dziś stracić w jego oczach, a zyskiwała coraz bardziej. Im lepiej ją poznawał, tym więcej rzeczy w niej kochał.

No nie! Tak się tą myślą zdenerwował, że o mały włos upuściłby śpiewnik. Co mu się w ogóle roiło? Jakie znowu: kochał? Ot, metafora. Mówi się przecież: kocham jeść, kocham piłkę nożną, kocham konie. A także - dopowiedział bezwiednie - kobiety o jedwabistych włosach, łagodnych oczach i figurze, że aż człowieka roznosi.

Do licha! Rozluźnił węzeł krawata. Owszem, podobało mu się w niej to i owo, co wcale nie oznacza, że się w niej kochał.

- Jake...

Głos Sary sprowadził go na ziemię. Nagle spostrzegł, że psalm się skończył i wszyscy wychodzą.

- Musimy pójść po Nikki.
- Prawda - mruknął, ruszając do wyjścia.
- Sara! Jake!

Okrągła, miła twarz Deb śmiała się do nich z drugiego końca

rzędu ław. Mimo rozdrażnienia Jake uśmiechnął się, gdy przedstawiała mu swego męża Harry'ego. Wysoki mężczyzna przyjaźnie uścisnął mu dłoń, nie puszczając ani na moment swojej grubiutkiej połowicy.

- Jak ty dziś ślicznie wyglądasz — ucieszyła się Deb, pochłaniając Sarę wzrokiem. - Ładnie ci w tej fryzurce, a sukienka po prostu marzenie... Do twarzy jej bez okularów, prawda? - zwróciła się do Jake'a. - Zawsze mówiłam, że powinna częściej chodzić w soczewkach.

Deb, uspokój się, błagała ją w myślach Sara, przerażona tym, że jej przyjaciółka próbuje wydusić z Jake'a komplement.

- Ty też, Jake, wyglądasz świetnie - ciągnęła pani Kloster. - Cieszę się, że wraca ci zdrowie.

- Ja również, bardzo.

- A nie mówiłam, że Sara zadba o ciebie jak trzeba?

- Owszem, dziękuję, ale... pewnie się pani ucieszy, bo już niedługo ją odzyskacie. Dziś rano ukazało się moje ogłoszenie, więc mam nadzieję, że w najbliższych dniach zatrudnię pomoc na stałe.

Sara zmartwiała. Wiedziała o tym ogłoszeniu, ale nie orientowała się, że już wyszło. Oznaczało to rychłą przeprowadzkę. Tak jak w baśni o Kopciuszku zegar odmierzał godziny. Życie znów miało wrócić w utarte koleiny, zamienić się w bezbarwną egzystencję. Bo przecież, pomyślała nagle, to, co przeżywam teraz, to baśń. Tyle że bez nadziei na szczęśliwe zakończenie. Nie mieli żyć razem „długo i szczęśliwie". Powiedział jej to zresztą wczorajszego wieczoru, ale zachwycona odkryciem, że w ogóle mógł jej pragnąć, nie zastanowiła się nawet nad tym, że nie zamierzał tych pragnień urzeczywistnić.

Jakaż że mnie idiotka, myślała z goryczą. Powiedział mi

o swojej słabości najprawdopodobniej wyłącznie dlatego, że jestem na tyle pospolita, że mógł się czuć bezpieczny. Niczym mu to z mojej strony nie groziło.

Marzenia okazały się marzeniami - i niczym więcej. Głupie, patetyczne marzenia samotnej brzyduli.

Przełknęła łzy, bojąc się, że zaraz popłyną po policzkach. Nagle wydała się sobie śmieszna w tej dopasowanej, różowej sukience, bezbronna bez okularów i głupia w swoich usiłowaniach, żeby wyglądać ładniej. Wszystko to nie miało najmniejszego sensu. Zaczerpnęła powietrza.

- A właśnie... Jake, miałam cię zapytać i nie zdążyłam rano. Czy nie zrobiłoby ci różnicy, gdybym zaczęła już pracować? Noga ci prawie wydobrzała, dom jest jako tako uprzątnięty, więc chyba nie ma potrzeby, żebym się kręciła w tych godzinach, gdy Nikki jest w przedszkolu.

Zauważyła, że jest zaskoczony, ale nim się odezwał, uprzedziła go Deb.

- Ależ, nie ma pośpiechu, Saro. Wszystko chodzi jak w zegarku. Naprawdę daję sobie radę.

- Nie wątpię, ale chciałabym już do was wrócić. Tęsknię za dzieciakami i za uczeniem. Po pracy przyjeżdżałabym z Nikki. Ugotuję i zrobię co trzeba...

- Niezły kierat, ale skoro tak chcesz, to bardzo proszę.

- Świetnie. - Zmusiła się do uśmiechu. - No, trzeba pójść po Nikki. Do jutra, Deb.

Szybko odwróciła głowę. Miała tylko nadzieję, że żadne z nich nie zauważyło, że ma podejrzanie mokre oczy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W nocy coś ją obudziło. Nie unosząc głowy, spojrzała na budzik. Było wpół do pierwszej. Półprzytomna usiadła na łóżku i sięgnęła po okulary, niepewna, czy rzeczywiście słyszała krzyk, czy też może tylko się jej to przyśniło. I naraz rozległ się znowu. Przeraźliwy pisk dobiegał z dołu.

Nikki! Sara zerwała z siebie kołdrę, chwyciła szlafrok i z du-
szą na ramieniu zbiegła do pokoiku dziewczynki. Skulona na łóżku, z przerażonymi oczami, Nikki przyciskała do siebie misia.

- No, serduszko, co się stało? - Sara szybko przytuliła ją.
- Potwór, potwór - chlipnęła Nikki.
- To tylko zły sen. - Przyciągnęła ją jeszcze bliżej, gładząc po głowie.
- Był jak prawdziwy...
- Co tu się dzieje?

W progu stał zdenerwowany Jake. Rozczochrany, miał na sobie jedynie nie do końca zapięte dżinsy, jakby wciągał je po drodze. Na jego widok Sarze zabiło serce.

- Coś się jej przyśniło.
- Chodź do mnie, kociaczku. - Usiadł na łóżku i przygarnął Nikki do siebie. Pochlipywanie wkrótce ustało. - Opowiesz mi, co to było?

Mała głośno pociągnęła nosem.

- Potwór - powiedziała z przekonaniem. - I on mnie gonił... Chciał mnie złapać... Przestraszyłam się...

Duża, opalona dłoń Jake'a zanurzyła się w gęstych lokach dziecka.

- Bardzo, bardzo - dopowiedział czule. - To może przeszukamy pokój? Chcesz?

Nikki kiwnęła głową i przytuliła się do Sary.

Jake podszedł do szafy.

- Potwory, wychodzić! Czas na was! - rozkazał.

Nikki zachichotała niepewnie.

- Mówię: wychodzić! - zagrzmiał groźnie, zaglądając do szafy. - Jazda stąd, jeśli wam życie miłe!

- Tatku, co ty! - roześmiała się dziewczynka. - Przecież tam nigdy nie było żadnych potworów.

Jake podrapał się w głowę, udając zafrasowanie, i zamknął szafę.

- A za fotelem? - Z zaambarasowaną miną zajrzał do kąta. - Hm... - Potarł brodę z namysłem, po czym przebił palcem powietrze. - Już wiem! Siedzą na pewno pod twoim łóżkiem!

- Nie! - Nikki zaniosła się śmiechem. - Tatko żartuje. Uwielbiam, jak się tak wygłupia.

Sara objęła ją mocniej i uśmiechnęła się. Też to lubiła. I to, i w ogóle wszystko. Pochłaniała go oczami, gdy tak chodził po pokoju w zjeżdżających mu z bioder, nie dopiętych dżinsach, a przy każdym ruchu uwydatniały się mięśnie pleców, ramion, brzucha...

- Ja bym to jednak dla pewności sprawdził. Ale, Nikki, będziesz mi musiała pomóc. Jeśli podniosę narzutę, to zajrzysz pod spód?

Ochoczo kiwnęła główką, zeskoczyła na podłogę, uklękła

i zajrzała pod łóżko, gdzie kręciło się jedynie parę kłębków kurzu.

- Przecież ci, tatku, mówiłam - stwierdziła tonem osoby, która wie lepiej i przysiadła na piętach. - Tu nie ma żadnych potworów.

Zrobił taką minę, że Sara wybuchnęła śmiechem.

- Chcesz powiedzieć, że uciekły tam, gdzie ich jeszcze nie szukaliśmy?

Nikki, uśmiechnięta jak słoneczko, wzięła się pod boki.

- Tatuś! To był tylko sen. Potwory w ogóle nie istnieją.

- Ach tak. - Udał, że się znowu głęboko namyśla. - W takim razie rozumiem, dlaczego żadnego nie znaleźliśmy.

Podniósł z podłogi zaśmiewającą się córeczkę, zakręcił nią w powietrzu i opuścił na łóżko.

- No to co? Da się teraz usnąć?

- Chyba tak, ale chce mi się pić. I przeczytaj mi książeczkę. A panna Sara niech mi opowie o księżniczce.

Jake spojrzał porozumiewawczo na Sarę. Odpowiedziała uśmiechem, ale jej serce wypełniał żal. -Ta chwila miała w sobie dziwną słodycz. Było w niej coś najprostszego, a zarazem najgłębszego. Miłość do Nikki sprawiła, że rozumieli się bez słów. Nad głową tego dziecka toczyła się cała rozmowa. „Cudowna, prawda? Zachwycająca. Myśli, że nas zawojuje. Wiem, ale pozwól, raz to nic nie zaszkodzi... Wiesz, tak się cieszę, że jesteś ze mną". Był to serdeczny dialog, jaki oczami mogli ze sobą prowadzić małżonkowie.

W Sarze wezbrała taka tęsknota, że odczuła ją niemal jak fizyczny ból. Jak by to było, gdyby Nikki była jej dzieckiem, a Jake mężem? Gdyby mała usnęła spokojnie, a oni przeszli do jego pokoju i położyli się razem? Przeszył ją dreszcz. Uzmysło-

wiła sobie, że wpatruje się w Jake'a, a on trzyma jej wzrok na uwięzi.

- Przyniosę Nikki wody - powiedziała cicho, porywając z łóżka szlafrok i wybiegając do łazienki.

Zamknęła drzwi, odkręciła kran i spryskała pałającą twarz wodą. Widok Jake'a, który dopiero co wyskoczył z pościeli, wystarczyłby, żeby wzburzyć krew w każdej normalnej kobiecie, ale pełna czułości zabawa, jaką uspokajał Nikki, poruszyła ją do głębi. Nagle z niezwykłą jasnością zrozumiała dlaczego. Kocham go! Znieruchomiała z mokrą twarzą, pochylona nad umywalką. Wielkie nieba! Nie chciała, żeby tak było, ale to prawda. Jo niczym bardziej nie marzyła niż o tym, żeby pójść z nim do łóżka. Gwałtownym ruchem zakręciła wodę i sięgnęła po ręcznik. Niech ci się nic nie marzy! - ostrzegła się, osuszając twarz. Powiedział jasno, że nie interesuje go stały związek. Sparzył się raz i nie miał już serca do małżeństwa. A poza tym nie dalej jak wczoraj stwierdził, że jej pobyt tutaj dobiega końca.

Zaczynać romans, który miałby trwać tydzień albo i krócej? Toż to idiotyzm, absurd. Tylko człowiek pozbawiony rozsądku... Możliwe. Tylko co komu po rozsądku, którym szczycą się wszystkie stare panny? Czy przez jakiś tam rozsądek miała nigdy nie zaznać miłości mężczyzny?

Powiedział wtedy, że chciałby się z nią kochać całą noc. Czy znalazłaby w sobie odwagę, żeby go ośmielić do spełnienia tych marzeń? Z bijącym sercem nalała wody do plastikowego kubeczka i wróciła do pokoju Nikki. Jake kończył czytać jakiś wierszyk. Gdy opowiadała swoją baśń i czuła na sobie jego wzrok, tamta myśl nie dawała jej spokoju. Nie opuściła jej jeszcze nawet wtedy, gdy całował Nikki na dobranoc. Kiedy jednak wyszli na korytarz, zupełnie straciła głowę. Nerwowo zacisnęła poły szlafroka.

- Przepraszam, że musiałaś wstawać po nocy - powiedział szybko, gdy chciała go wyminąć.

- Och, to nic, naprawdę - bąkała spięta. - Wiem, jakie okropne mogą być nocne koszmary.

- Z własnego doświadczenia? Często ci się źle śni?

- Teraz już nie, ale kiedyś...

- A co ci się śniło?

- Węże... Nienawidzę ich...

Zażenowana tematem i bliskością Jake'a ruszyła korytarzem. Przytrzymał ją za nadgarstek i puścił od razu, ale to wystarczyło, żeby poczuła się jak oparzona.

- Kompletnie wybiłem się ze snu. Może napilibyśmy się gorącej czekolady? Zgódź się - poprosił, widząc, że się waha - bo nie mam pojęcia, jak się ją przyrządza. A bez tego w ogóle nie zasnę.

Stało się tak, jak przypuszczał - zgodziła się, bo nie umiałaby odmówić, gdy prosiło się ją o pomoc. Taka to już istota, myślał, idąc za nią. Powinien pewnie wstydzić się podobnych forteli, ale tak mu się nie chciało z nią rozstawać, że musiał wymyślić jakiś pretekst.

W króciutkim ciemnoróżowym szlafroczku, przewiązanym ciasno w talii, wyglądała jak marzenie. Dopóki nie zobaczył jej w dopasowanej sukience, nie miał pojęcia, że pod tymi swoimi wiecznie luźnymi ciuchami ukrywa aż taką słodką figurkę. Ale teraz już o tym wiedział i miał kłopoty z myśleniem o czymkolwiek innym. Kiedy nachyliła się po garnuszek, w jednej sekundzie wyschły mu usta. Ho, ho, ho... Szykowna nocna bielizna Sary nie miała nic wspólnego z pospolitością ubrań, które nosiła za dnia. Poczuł się nagle tak, jakby go cisnął kołnierzyk, uniósł rękę do szyi i dopiero wtedy uświadomił sobie, że jest

bez koszuli. Z roztargnieniem podrapał się po piersi, wodząc wzrokiem za każdym poruszeniem Sary krzątającej się między lodówką a kuchenką. Czy również pod dziennymi ciuchami nosiła koronkowe cuda? A jeśli tak, to dlaczego - a raczej dla kogo?,

- Udało ci się to spotkanie, na które wybierałaś się po południu?

Kiwnęła głową.

- Znam tę osobę?

- Nie sądzę; Pani Milston ma dziewięćdziesiąt dwa łata i mieszka w domu opieki.

Odetchnął z ulgą i poszukał usprawiedliwienia dla swojej nadmiernej ciekawości.

- Znasz tu chyba wszystkich...

- Oak Grove to mała mieścina, a moja babcią była kobietą aktywną. Znają mnie tu przez nią.

- Przyjeżdżałaś z narzeczonym?

Podniosła oczy znad puszki kakao.

- Nie.

- Nie chciałaś, żeby babcia poznała kogoś tak ci bliskiego?

- Zachorowała zaraz po moich zaręczynach, a Dave... -zawahała się - nie znosił towarzystwa chorych ludzi.

Doprawdy miły chłoptaś, pomyślał Jake. Nie rozumiał, co mogło łączyć Sarę z kimś takim.

- I dlatego się rozstaliśmy - dopowiedziała, biorąc z puszki parę łyżek czekolady. - Chciałam się przeprowadzić tutaj i opiekować się nią, ale jemu to nie odpowiadało. Nie mogłam pogodzić się z myślą, że będzie musiała żyć w domu starców. Coś Się jej ode mnie należało.

- A on co?

- Zareagował niezbyt przyjemnie. Dał mi do zrozumienia, że takiej dziewczynie jak ja nie zdarzy się już pewnie okazja, żeby wyjść tak korzystnie za mąż. - Uśmiechnęła się krzywo. - Odpowiedziałam, że mimo wszystko spróbuję. W końcu zrozumiałam, że zainteresował się mną głównie dlatego, że potrzebował kogoś, nad kim mógłby górować.

Jakiem zatrzęsło. Czuł, że nie powinien już o nic pytać, ale ogarnęła go taka złość na tego jakiegoś bubka, przez którego musiała cierpieć, że wybuchnął:

- Górować nad tobą?! A to z jakiego tytułu? Niby co go do tego upoważniało?

Sarze zadrgały usta. Widział, że oddycha nierówno i walczy ze sobą, żeby się opanować.

- Mój wygląd - odpowiedziała twardo.

- Nie rozumiem.

Zamieszała mleko.

- Chodziło mu o to - przyznała, patrząc w garnek - że jestem niełądna. Ot, takie sobie brzydkie kaczątko, jak mówił, które nigdy nie rozwinie skrzydeł.

A to skończony bałwan! - myślał Jake. Sara niełądna? A to matoł!

- I co ty w ogóle widziałaś w tym człowieku?

- Nie wiem. Żebrak nie wybiera.

- Możesz mi to wyjaśnić, bo nie pojmuję?

Wzruszyła ramionami.

- Jestem realistką. Wiedziałam, że muszę pogodzić się z tym, że mężczyzna, który zechce się ze mną ożenić, nie będzie bez wad, ponieważ i on będzie musiał zaakceptować mój podstawowy mankament, to znaczy brak urody.

- To też fragment nauk, których udzielił ci ten twój cacuś?

Kiwnęła głową. Włosy zasłaniały jej twarz.

- I uwierzyłaś w takie bzdury?

Znowu wzruszyła ramionami, ale tym razem nie udało jej się zachować pozorów. Łza, która potoczyła się po policzku, skapnęła na płytę kuchenną z głośnym sykiem.

- Nie powiedział niczego, czego bym nie wiedziała.

Patrzył na nią ze ściśniętym sercem. Matka, ten bubek...

Boże Święty, co oni jej zrobili?! Jakąż krzywdę! Czy miała o sobie tak niskie wyobrażenie, że gotowa była wyjść za mąż za durnia, który jawnie ją obrażał?

- To był zwykły nikczemnik, Saro. Nic ci po nim. Zasłużyłaś na lepszy los. Jak ci wczoraj powiedziałem, musisz wyjść za kogoś, kto pokocha cię całym sercem. Nawet nie wiesz, jaka jesteś wspaniała...

- Daj spokój - przerwała cicho. - Wiem, jak wyglądam.

Jej zrezygnowany ton doprowadził Jake'a do wrzenia.

- Niczego o sobie nie wiesz! - Podniósł głos. - Mam wrażenie, że powtarzasz tylko w kółko to, co ci nabzdurzono w okresie dojrzewania. Chodź! - Gwałtownie pociągnął ją na korytarz. - No, chodź!

-Dokąd?

- Do mnie!

Zanim zorientowała się, o co chodzi, stali już w otwartych drzwiach sypialni, przed ogromnym, rozścielonym łóżkiem. Wyobrażała sobie nieraz, że tu razem przyjdą, ale to nie miało być tak, nie tak... Ogarnęła ją panika.

- Jake, ja...

Stanął za nią i popchnął ją lekko w stronę dużego lustra.

- Spójrz tylko na siebie. Co widzisz?

Znieruchomiała z wypiekami na twarzy.

- No, śmiało. Co widzisz?

Podniosła na moment wzrok i skrzywiła się.

- Wysoką, gamoniowatą kobietę o pospolitych rysach.

- A ja nikogo takiego nie widzę - zaprzeczył stanowczo, ujmując jej głowę i nakierowując ją tak, żeby musiała patrzeć w lustro. - Widzę kobietę, która zrywa się w nocy z ciepłego łóżka, bo słyszy krzyk dziecka. Kobietę, która bez słowa zawiesza swoje sprawy na kołku i pomaga nieznajomemu facetowi, który nie może opiekować się swoim dzieckiem.

- To nie ma nic wspólnego z urodą - wyszeptała łamiącym się głosem.

- A właśnie, że ma. O urodzie decyduje to, kim się jest. A ty jesteś dobrą, piękną kobietą. Może stoisz po prostu za daleko i dobrze nie widzisz.

Przysunął ją jeszcze bliżej lustra, a gdy przytrzymał jej włosy, wyrwało się jej westchnienie.

- Przyjrzyj się swoim włosom, Saro - powiedział tuż przy jej uchu, przepuszczając powoli przez palce gęste pasma. - Są jak jedwab miękkie i pachną tak słodko... Od początku marzyłem, żeby ich dotykać tak jak teraz.

Opuszkami palców powiódł po jej rozgrzanym policzku. Patrzyła w lustro jak zahipnotyzowana, jakby obserwowała nie siebie, ale kogoś obcego.

- Pragnąłem też dotykać twojej skóry - wymruczał. - Pięknej, aksamitnej, gładkiej... - Delikatnie zdjął jej okulary. - Czy z tej odległości możesz siebie widzieć bez okularów?

Kiwnęła głową oniemiała.

- To dobrze, bo powinnaś przyjrzeć się swoim oczom. Kiedy odzyskałem przytomność na tym pastwisku i spojrzałem w twoje oczy, pomyślałem sobie: anioł.

Przylgnął do niej całym ciałem i nagle poczuła jego napięte uda i brzuch, a w sobie gorący impuls.

- Twoje usta... - szepnął chrapliwie, wodząc po nich palcem, i usłyszała, że przełyka ślinę. - Nie mogę przestać myśleć o twoich ustach... Od kiedy wiem, jak smakują, marzę...

Ciało Sary zmieniło się w płomień. Odwróciła się instynktownie, a Jake przygarnął ją do siebie. Stał się dla niej nagle całym światem i życiem. Żyła, bo czuła ręce pieszczące jej plecy, ciężar jego ciała na swoich piersiach, spragnione wargi na ustach, prężącą się męskość. Szalała ze szczęścia. „Pragnę cię". To nie były puste słowa. To była prawda!

Gdy objął dłonią jej pierś, usłyszała jęk i zszokowana uzmysłowiła sobie, że to jej głos.

- Pragnę cię zobaczyć - szepnął Jake. - Całą.

Pociągnął za szarfę szlafroczka i zdjął go z jej ramion. Zadrżała, czując chłód, i mocniej przytuliła się do niego. Gdy zsuwał ramiączka koszuli, zamknęła oczy.

- Sara...

Zawahała się. Na dnie jej świadomości czaił się lęk. Bała się, że jeśli otworzy oczy, magiczny, cudowny nastrój pryśnie. Pragnęła jeszcze choćby przez chwilę pożyć w tej baśni. Jake sprawił, że poczuła się pięknym łabędziem. Nie chciała spojrzeć w lustro i zobaczyć brzydkiego kaczątka.

- Otwórz oczy, proszę - nakłaniał ją miękko. - Zobacz, jaka jesteś piękna.

Serce biło jej jak szalone. Oddychała płytko, jakby bała się sparzyć gorącym powietrzem wypełniającym jej płuca. Wolno, wolniutko podniosła powieki.

Z całego obrazu, który nagle jej się ukazał, wydobyła w pierwszej chwili niesamowity, podniecający kontrast między

swoją mlecznobiałą piersią a obejmującymi ją ciemnymi męskimi palcami. Pobiegła spojrzeniem ku jego twarzy. W błyszczących oczach Jake'a paliło się pożądanie.

-Piękna...

Nagle poczuła, że tak jest. Po raz pierwszy w życiu czuła się piękna. Wstrzymując oddech, patrzyła w lustro, gdy pieścił ją, mrucząc pochwały. Miała wrażenie, że widzi siebie z góry. I nagle zobaczyła siebie oczami Jake'a. Było to odkrycie niesamowite. Nigdy nie myślała o swoim ciele w taki sposób. Piersi zawsze wydawały jej się za małe; talia za gruba, biodra zbyt kanciaste. Zawsze zwracała uwagę na mankamenty, nigdy nawet nie pomyślała o tym, co mogło być w niej ładne - kobiece, podniecającej takie...

- Piękne - szepnął, bawiąc się jej piersią. -I ta, i ta. - Patrzyła bez tchu, jak pochyła głowę, całując jej piersi i czuła, że kolana słabną jej z rozkoszy. Rozpostartą dłonią pieścił jej brzuch w erotycznym zachwycie, aż zadrżała; płonąc z podniecenia. - Pragnę cię - wyszeptał jej do ucha. - Zaraz...

Przerwał mu ostry pisk urządzenia alarmowego

- Co to?

- Chyba wykrywacz dymu. - Sara zasłoniła ręką usta. - O Boże! Mleko! Zostawiliśmy garnek na kuchni.

Jake błyskawicznie sięgnął po ubrania i okulary, które leżały na podłodze.

- Biegnij do Nikki. Zabierz ją z domu.

Chwała Bogu, myślał oparty o drzwi stajni, odprowadzając wzrokiem samochód, który w obłoku kurzu wyjeżdżał z rancza. Sara jechała z Nikki do przedszkola. Alarm ubiegłej nocy nie tylko ocalił dom przed spaleniem, ale i zapobiegł zupełnie innemu pożarowi.

O tak, naprawdę dobrze się stało. Alarmowy dzwonek rozległ się w najodpowiedniejszym momencie. Mogło spalić się znacznie więcej niż garnek. Dobrze też, że Sara obudziła Nikki i zabrała ją na dziedziniec. Może to i była nadmierna ostrożność, ale potem przez pewien czas mieli przyzwoitkę. A potrzebował kogoś takiego jak diabli. Kiedy wreszcie Nikki usnęła po raz trzeci tej nocy, poszedł prosto do siebie, zamknął drzwi i wziął długi, zimny prysznic.

Przynajmniej intencje miałem dobre, myślał z przekąsem. Chciał jej pomóc przezwyciężyć kompleks, którego nabawiła się przez tego mięczaka, szukającego kogoś, na kim mógłby się wyżywać. Na szczęście miała siłę mu się przeciwstawić... Rozmyślanie o intencjach nie miało już jednak sensu. Sytuacja rozwinęła się jednoznacznie i dotyczyła tylko ich dwojga. Nie mógł sobie ufać. Pozostało jedyne rozwiązanie - musiał pozbyć się jej z domu. Nająć gospodynię, i to jak najszybciej. Jeszcze w tym tygodniu. A najlepiej dzisiaj.

Wcisnął kapelusz na głowę i poszedł szukać Buddy'ego, Musiał mu powiedzieć, że wraca do domu. Czekał na niego cały stos papierkowej roboty, która zebrała mu się w ciągu ubiegłego tygodnia, a także chciał być pod telefonem, żeby odebrać ewentualne zgłoszenia. Im prędzej pozbędzie się Sary, tym lepiej. Co z oczu, to z serca.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Coś marnie dziś wyglądasz - zauważyła Deb, zabierając z kuchni tacę z kubeczkami napełnionym jabłkowym sokiem. - Ciężko ci się znowu rozkręcić na pełny gaz?

Sara zamknęła sok i wstawiła pojemnik do lodówki.

- Nie, nie, wszystko w porządku.

- Oj, chyba nie bardzo.

I rzeczywiście było z nią coś niedobrze. Wczoraj wyprowadziła się z rancza, żeby zrobić miejsce dla nowej gospodyni, i czuła się tak, jakby straciła grunt pod nogami.

- Brakuje ci Jake'a i Nikki? - Deb pokiwała głową ze współczuciem.

Strasznie, zaszlochała w myślach, ale nie mogła powiedzieć tego głośno, skoro bała się przyznać nawet przed sobą. Zmusiła się do uśmiechu i zaczęła zawijać w serwetki serowe krakersy dla dzieci.

- Szczerze mówiąc, zastanawiam się, dlaczego jej jeszcze nie ma. Spóźnia się dzisiaj.

- Kto ją przywiezie? Jake?

- Chyba tak. W ubiegłą środę zawiozłam go do lekarza na drugą wizytę kontrolną; Może już prowadzić sam.

Właśnie podczas tej jazdy do miasta powiedział jej, że zatrudnił gospodynię. Pani Olsen, zaznaczył, ma znakomite referencje, Jest zawodową opiekunką, pracowała do tej pory u za-

możnej rodziny w Shreveport, ma też, potwierdzone dyplomem, kwalifikacje do prowadzenia domu. Szukała nowego miejsca pracy, ponieważ dzieci, którymi zajmowała się do tej pory, urosły i nie potrzeba im już było niani. Ustalili, że wprowadzi się w niedzielę po południu.

Zadźwięczały dzwoneczki. Uniosła głowę i zobaczyła biegnącą do niej Nikki. Z bijącym sercem wyciągnęła do niej ręce, patrząc na wejście, ale zamiast przystojnego kowboja, w drzwiach ukazała się chuda kobieta po pięćdziesiątce.

- Hanna Olsen - przedstawiła się bez uśmiechu. - Przepraszam, że nie jesteśmy punktualnie, ale ojciec małej nalegał, żeby pozwolić jej dziś pospać dłużej.

Nikki rzuciła się Sarze w ramiona.

- Och, panno Saro, tak się za panią stęskniłam. - Ukryła buzię w fałdach jej spódnicy i zaczęła popłakiwać.

- No, skarbeczku, hej... Co się stało?

- Zapewniam panią, że dziecku pod moją opieką nie może się dziać nic złego.

Sara usztywniła się. Mało co budziło w niej większą niechęć niż umniejszanie czy wręcz lekceważenie przez dorosłych uczuć dziecka.

- Jest czymś bardzo zdenerwowana - powiedziała, nie patrząc na opiekunkę i klękając przy dziewczynce. - O co chodzi? No, mów szybciutko.

- Chcę, żebyś do nas wróciła! Żebyś mieszkała ze mną i z tatką - rozpłakała się Nikki. - Nie mogłam zasnąć bez bajki o księżniczce. Tatko próbował mi ją opowiadać, ale to nie to co ty. Chcę ciebie!

- Zachowywała się poniżej wszelkiej krytyki - stwierdziła kategorycznie pani Olsen.

Sara z trudem powstrzymała się, żeby nie powiedzieć kilku cierpkich słów.

- No, słoneczko, opanuj się. Co ci się stało?

- Jej ojciec przesiedział przy niej pół nocy, czytając bajki. To się stało! - Pani Olsen wzniosła oczy do nieba, dając do zrozumienia, że uważa zachowanie Jake'a za absurd. - Dziecko usnęło wreszcie koło pierwszej. Mówiłam panu Mastersowi, że najlepiej dać jej się wypłakać, aż w końcu zmęczy się i uśnie, ale nie chciał o tym słyszeć.

- Mam nadzieję! Tak nie wolno postępować z...

- Proszę pani - przerwała opiekunka. - Zajmuję się dziećmi od trzydziestu lat i wiem, że najważniejszy jest właściwy początek. Trzeba od razu ustalić zasady, a potem konsekwentnie się ich trzymać.

Sara popatrzyła na tulącą się do niej dziewczyneczkę. Tej starej kwoce warto by wyłożyć parę elementarnych spraw.

- Zasady są ważne, owszem, ale nie najważniejsze. Potrzeby emocjonalne dziecka...

- Banialuki! - parsknęła lekceważąco pani Olsen. - Nowoczesne wymysły.

- Ależ... - Sara czuła, że ogarnia ją wściekłość.

- Saro, moja miła, dzieci czekają na drugie śniadanie... - Deb delikatnie dotknęła jej ręki i ruchem głowy poprosiła ją o przejście do sali. Walcząc ze złością, Sara uświadomiła sobie, że przyjaciółka stara się po prostu zapobiec kłótni i oczywiście ma słuszność. Cokolwiek by powiedziała, nie zmieniłoby to postawy tej jędzy w wykrochmalonych majtkach. To był beton.

Gdy Deb odprowadzała panią Olsen do drzwi, uprzejmie przytakując jej, Sara objęła Nikki.

- Nie lubię jej. - Dziewczynka zrobiła brzydką minę.

Ja też, zawtórowała jej w myślach Sara. Kojarzyła się jej nieodparcie z postacią wiedźmy z „Czarodzieja z Oz".

- Nie rób min... - powiedziała. - Chodź, pomożesz mi rozdawać sok i krakersy, a po śniadanku pobawimy się przy muzyce. Umiesz tańczyć poleczkę?

Nikki rozpromieniła się. Sara mogła jedynie marzyć, żeby i jej nastrój zmienił się tak łatwo.

Przysiadła na brzegu łóżka i niezdecydowanie popatrzyła na aparat telefoniczny. Może należało zadzwonić do Jake'a i podzielić się z nim wątpliwościami na temat pani Olsen? Zastanawiała się nad tym przez cały dzień. Rozsądek podpowiadał, że nie powinna wtrącać się w nie swoje sprawy, ale mimo to kusiło ją, żeby jednak sięgnąć po telefon. Kiedy pani Olsen przyszła odebrać Nikki, dziewczynka przytuliła się do Sary, błagając, żeby wróciła na ranczo. Wstrząsnęło to nią ogromnie, zwłaszcza że sama niczego bardziej nie pragnęła.

Dzwonię, zdecydowała. Podniosła słuchawkę, ale kiedy niechcący zerknęła na budzik, odłożyła ją na widełki. Babcia zawsze mówiła, że to niegrzecznie dzwonić do kogoś po dziewiątej wieczorem, a było już dobrze po jedenastej. Prawdę powiedziawszy, nie chciała też, żeby Jake pomyślał sobie, że nic nie robi, tylko siedzi i tęskni - choćby nawet tak było.

Z westchnieniem podeszła do nocnego stolika i wzięła do ręki leżącą na nim powieść. Z lektury jednak nic nie wyszło, nie potrafiła się skupić. W jej serce wsączało się bolesne uczucie samotności, przed oczami stanęły obrazy. Jake... Czyta Nikki książeczkę, pochylając swoją ciemną głowę tuż przy jej jasnych loczkach... Żartuje w kuchni, rozbijając jajka na niedzielne śniadanie... Obejmuje ją przed lustrem, pieści namiętnie, patrzy...

Zirytowana tym, że nie potrafi zapanować nad myślami, zgasiła boczne światło z nadzieją, że znajdzie ucieczkę w śnie. Nie zdążyła jeszcze przyłożyć głowy do poduszki, gdy ktoś zadzwonił. Zaniepokojona wyskoczyła z łóżka i narzucając wykończony koronką szlafrok, podbiegła do drzwi. Kto to u licha? O tej porze? Z bijącym sercem przyłożyła oko do dziurki od klucza. Jake! Ręce trzęsły się jej tak nieopanowanie, że otwarcie zamka zajęło jej trzy razy więcej czasu niż zwykle.

Zdjął kapelusz.

- Przepraszam, że niepokoję cię o tej godzinie.

- To... to nic - wybąkała, ogarniając się ciaśniej połami szlafroka. - Wejdziesz?

- Chyba lepiej nie. Jestem z Nikki, nie chciałbym zbyt długo zostawiać jej samej w samochodzie.

- Coś jej jest?

- Nie. Nie śpi, ale poza tym wszystko w porządku. - Przestąpił zmieszany z nogi na nogę i przełożył kapelusz do drugiej ręki. - Chciałem z tobą koniecznie porozmawiać, a nie miałem z kim jej zostawić. Pani Olsen... odeszła.

Uff! Sara odczuła ulgę.

- Na własne życzenie czy na twoje?

- Powiedzmy, że za porozumieniem stron. - Uśmiechnął się krzywo. - Powiedziała, że powinienem sprawić Nikki lanie, a ja na to, że jeśli kogoś miałbym stłuc, to raczej już ją.

- Niemożliwe...

- Niestety. Ta kostyczna jędza może się chwalić najlepszymi referencjami, ale zamiast serca ma chyba pestkę, i to wyschniętą.

Sara roześmiała się, lecz kiedy spojrzeli na siebie, poczuła, że nie może normalnie oddychać.

- Niezręcznie mi cię prosić, Saro, ale... Czy mogłabyś wrócić do nas do czasu, aż znajdę kogoś innego? Muszę wyjechać na kilka dni, a wolałbym nie zostawiać Nikki z kimś obcym.

Patrzyła na niego z mocno bijącym sercem. Powrót na ranczo byłby największym głupstwem, czymś absolutnie bezsensownym. Jeśli już teraz tęskniła tak szaleńczo, to co by było, gdyby zaangażowała się jeszcze bardziej? Ile można cierpieć?

Odgarnęła z oczu kosmyk.

- Chciałabym ci pomóc, ale...

- Obiecuję zachowywać się należycie - przerwał, nim zdążyła dokończyć myśl. - To i owo wymknęło mi się spod kontroli, wiem, ale to się już nie powtórzy. Za bardzo cię szanuję, Saro. Zasługujesz na...-Zawiesił głos.

„Na człowieka, który pokocha cię całym sercem", dokończyła w myślach. Mówił to już dwa razy, zawsze wtedy, kiedy chciał się wykręcić. Jakże bolesne były te wspomnienia! Żeby się nie rozpłakać, zacisnęła na moment powieki, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że Jake patrzy na nią tak jakoś... No jak? Z bólem? Z żalem? Ze smutkiem? W jego spojrzeniu uzewnętrzniły się chyba wszystkie te uczucia.

- Zasługujesz na dużo więcej, niż ja mógłbym ci ofiarować - dokończył. Odwrócił wzrok i przesunął w ręce rondo kapelusza. - Zapłacę ci tak, jak tamtym razem. A jeśli chcesz pracować w przedszkolu w tych godzinach, kiedy przebywa tam Nikki, to niech i tak będzie. Proszę, Saro... Potrzebujemy cię, wróć.

Potrzebujemy cię. Poczuła nagle ciepło wokół serca. Za te dwa słowa zrobiłaby dla niego wszystko. Czy to przeczuwał? Czy po to je wypowiedział? Pytała o to siebie, ale tak naprawdę było jej wszystko jedno. Niech mówi, co chce, byle tylko mogła jeszcze trochę pobyć z nim i z Nikki.

Kiwnęła głową.

- Przywiozę ją do domu jutro po przedszkolu i pomyślimy, co dalej.

Potarł ręką brodę.

- Jest późno, wiem, ale czy nie mogłabyś zabrać się z nami już teraz? Nikki nie zaśnie bez twojej bajki... Sam już nie wiem, co robić. Taki kłopot.

Serce Sary przepełniło się słodyczą. To, co Jake uważał za kłopot, dla niej było drogocennym darem. Jak to cudownie wiedzieć, że się jest niezbędnym. Przez całe życie tęskniła za ' tym, żeby ktoś tak jej potrzebował. Wiedziała, że reaguje aż śmiesznie ochoczo, ale nawet nie starała się maskować swojego radosnego uśmiechu.

Rzuciła mlecze na górę chwastów, przysiadła na piętach i otarła pot z czoła wierzchem bawełnianej rękawiczki. Była dopiero dziesiąta rano, ale czerwcowe słońce przypiekało już mocno. Kiedy godzinę temu, razem z Nikki, zaczęła pielić ogródek, było chłodniej, ale na widok Jake'a chodzącego bez koszuli robiło jej się gorąco jak w południe. Próbowała się skupić na odchwaszczaniu warzyw i rabatki kwiatowej, ale jej oczy ciągle patrzyły gdzie indziej. Odetchnęła z ulgą, gdy zatelefonowała mama jednej z dziewczynek z przedszkola i zaprosiła Nikki do siebie. Podwiozła małą, a kiedy wróciła, Jake pracował na dziedzińcu i nie musiała stale na niego patrzeć.

Niestety, myślała wyrywając zielsko, to nieprawda, że co z oczu, to i z serca. W tych dniach Jake był głównym tematem jej rozmyślań. Przez te dwa i pół tygodnia, jakie upłynęły od powrotu na ranczo, jej uczucia wybujały wyżej niż chwasty w ogródku, mimo że Jake'a prawie cały czas nie było w domu.

Pojechał na zjazd hodowców bydła i na aukcję, a potem trzykrotnie wyprawiał się po cielaki. Gdziekolwiek był i cokolwiek robił, co wieczór telefonował, żeby dowiedzieć się o Nikki, i za każdym razem się rozgadywał.

W rozmowie na odległość zachowywał się zupełnie inaczej niż w bezpośrednim kontakcie. Był serdeczny, odprężony, czasem nawet się przekomarzali. Na co dzień natomiast, chociaż nie unikał jej otwarcie, wyraźnie starał się nie przebywać z nią sam na sam. W rezultacie wydawał się bliższy właśnie wtedy, kiedy go nie było. Tak się boi zaangażowania, myślała poruszona, że stać go na luz wyłącznie z dystansu. Czasem przyłapywała go na tęsknym spojrzeniu i wtedy zaczynało jej walić serce. Ubiegłego wieczoru, kiedy opowiadała Nikki bajkę; tak ją to zmieszało, że kwestię księżniczki Róży wypowiedziała barytonem burmistrza.

A to pech, myślała, mocując się z upartym chwastem. Znalazła wreszcie mężczyznę, któremu się spodobała i który był jej marzeniem, lecz co z tego? Tak się bał miłości, że nie chciał przebywać z nią w jednym pokoju nawet przez dwie minuty. Działo się właśnie to, czego się obawiała, godząc się na swój powrót. Im częściej go widywała - samego czy z Nikki - tym bardziej ją obchodził. A im mocniej się angażowała uczuciowo, tym bardziej pragnęła wzajemności. Ponieważ zaś uparł się, żeby jej tego nie dać, cierpiała.

Pieląc zawzięcie, dotarła do rzędu wysokich chryzantem, za którymi przy płocie rosły gęste jeżyny. Sięgnęła pod krzew, by wyrwać trawę, i nagle namacała coś śliskiego. Znieruchomiała z wyciągniętą ręką. O Boże! Wąż! Sparaliżowana strachem, patrzyła, jak owija się jej wokół nadgarstka. Był długi, czarny i przerażająco rozdęty, jakby pożarł coś, co nie dawało się strawić. Wolniutko spełzł na rękawiczkę i zniknął w krzakach.

Nie uchwyciła momentu, kiedy zaczęła krzyczeć. Wiedziała jedynie, że nie może przestać. Do pracującego na dachu Jake'a dobiegły nagle przerażające dźwięki. Znieruchomiał zelektryzowany, czując, że strach podnosi mu włosy na głowie. Musiało się stać coś niesamowitego, skoro opanowana, zrównoważona Sara - bo to był jej krzyk - zareagowała w taki sposób. Spuścił na ziemię ciężką żaluzję, zszedł po drabinie i obszedł dom, przeklinając w duchu swoją niezbyt jeszcze sprawną nogę.

Zobaczył Sarę na tyłach ogrodu. Leżała na ziemi, zanosząc się od krzyku. Podbiegł do niej i ukląkł.

- Co ci jest? Co się stało? - Delikatnie dotknął jej pleców, bojąc się, że coś sobie zrobiła, a kiedy się odwróciła, zobaczył jej oczy. Wypełniało je takie przerażenie, że nie był pewien, czy go w ogóle spostrzega. Wystraszony, mocno chwycił ją za ramiona.

- Sara, czy ciebie coś boli?

Krzyk zmienił się w histeryczne łkanie. Potrząsnął nią delikatnie.

- No, co ci... skarbie... uspokój się. Co się stało?

Nagle wtuliła się w niego.

- Wąż - wydusiła przez łzy. - Wąż.

- Ukąsił cię?

- Nie... - Znowu zaniosła się szlochem.

Nie miał nigdy do czynienia z histerią, był jednak pewien, że tak należałoby określić stan Sary. Leżenie na ziemi niewiele tu mogło pomóc.

- Już po wszystkim - powiedział. - Jestem przy tobie, a wąż uciekł. Poleżysz sobie, ale nie tutaj. No, rusz się, chwyć mnie za szyję.

Podniósł ją i na rękach zaniósł do domu. Była wysoka, ale

wydała mu się aż zdumiewająco lekka. Otwierając drzwi, oparł ją sobie na zdrowej nodze, a potem przeniósł przez kuchnię do pokoju.

Kiedy delikatnie opuścił ją na sofę, pochlipywała jeszcze. Usiadł przy niej, gładził po plecach, ale nie miał pojęcia, jak ją uspokoić.

- Zrobić ci drinka? A może zimny okład? Jak ci pomóc? Powiedz, co mam zrobić...

- Trzymaj mnie...- zaszlochała.

Posadził ją sobie na kolanach i objąwszy ramieniem, gładził po włosach tak samo jak Nikki, gdy czasem musiał ją uspokoić. Sara płakała i płakała, aż w końcu dramatyczne szlochy zamieniły się w ciche pochlipywanie i wreszcie ucichły. Głośno pociągnęła nosem, odetchnęła i podniosła głowę;

- Przepraszam - szepnęła.

- Nie ma za co. - Pogładził ją po ręce. - Możesz mi już teraz opowiedzieć, co się stało?

- Zobaczyłam węża... - Wzdrygnęła się tak mocno, że od razu otoczył ją ramionami. - Owinął mi się na ręce, podpełzł aż tu... - Podniosłą dłoń do góry. Znowu najwyraźniej zbierało jej się na płacz. Dopiero teraz zauważył, że ma zabrudzone ziemią rękawiczki. Ujął jej ręce i rozluźniając po kolei każdy palec, ściągnął je delikatnie.

- Jak wyglądał? - Rzucił rękawiczki przez pokój, prosto do kosza na śmieci.

- Duży, czarny, wybrzuszony...

- To grzechotnik. Jest ich tu rzeczywiście sporo. Polują na gryzonie.

Zamknęła oczy i wyglądała tak, jakby zbierało się jej na wymioty. Pomasował jej kark, zastanawiając się, co robić. Lu-

dzie na ogół brzydzą się gadami, ale z taką reakcją nigdy się nie spotkał. To nie było normalne.

- Dlaczego tak się boisz węży? - zapytał, myśląc, że może jej pomóc mówienie.
- Bo... Przeżyłam kiedyś coś okropnego.
- Zostałaś ukąszona?
- Nie... Zhańbiona.

Ściągnął brwi.

- Co ty mówisz? Jak wąż może kogoś zhańbić?

Sara wciągnęła powietrze.

- Długo by opowiadać.
- Mam czas.

Stracił już nadzieję, że coś powie, gdy nagle przesiadła się z jego kolan na kanapę.

- To było latem... - zaczęła i urwała. Objął ją szybko, obawiając się, że znowu zacznie płakać. - Miałam piętnaście lat i wyglądałam jak ostatnia niezgraba. Spędzałam wakacje u babci. Zadurzyłam się w pewnym chłopaku, którego znałam tylko z widzenia. Miał na imię Tommy, chodził już do gimnazjum. Myślałam, że w ogóle mnie nie zauważa, a tymczasem pewnego dnia przyszedł i zaprosił mnie na zabawę w Święto Niepodległości. Byłam w siódmym niebie. Nie zastanawiałam się, dlaczego taki przystojny chłopak, który pokazywał się wszędzie ze starszymi kolegami, należącymi do szkolnego bractwa, wybrał właśnie mnie. Byłam zbyt naiwna, żeby w ogóle coś podejrzewać. .. Święto 4 lipca obchodzi się w Oak Grove zawsze bardzo uroczyście... jest parada, jarmark, festyn i pokaz sztucznych ogni. Ale ja przez cały dzień nigdzie nie poszłam. Szykowałam się na swoją wielką randkę. Kiedy Tommy przyszedł po mnie, byłam taka zdenerwowana, że prawie nie mogłam mó

wić. Nie zastanowiło mnie to, że i on w drodze na zabawę ledwie się odzywał. Dziwne natomiast wydało mi się zachowanie jego kolegów... gdy przyszliśmy, wszyscy zaczęli się śmiać. Tommy tańczył tylko ze mną, ale przez cały czas robił miny do swoich przyjaciół, którzy zachowywali się tak, jakby nam kibicowali.

- O co im chodziło? - spytał podejrzliwie Jake, widząc, że Sara aż się trzęsie.

- Dowiedziałam się, gdy poszłam do toalety. Wchodzę i słyszę jakąś dziewczynę. Mówi o mnie, więc staję w progu i słucham. Mówi, że to wstyd, żeby bractwo szkolne wykorzystywało mnie do jakichś swoich ciemnych sprawek i że na pewno ci starsi zmusili Tommy'ego do przyprowadzenia mnie na tańce. A najgorsze świństwo to to, że Sara, czyli ja, nie ma pojęcia, że robią z niej idiotkę... Tamta dziewczyna nie wiedziała, że wszystko słyszę. Byłam zdruzgotana, upokorzona do tego stopnia, że chciałam po prostu umrzeć. Gdyby w tej toalecie było okno, to bym przez nie wyskoczyła. Ale wyjść z budynku można
było tylko wracając przez główny hol. Gdy próbowałam się wymknąć, Tommy wyciągnął mnie na środek parkietu. Czułam się okropnie... oszukana, wystawiona na pośmiewisko... nie wiedząc, co jeszcze mnie czeka…

Zacisnęła w popłochu powieki, broniąc się przed galopującymi w jej pamięci obrazami. Strach odebrał jej, tak jak wtedy, wszystkie siły, lecz teraz czuła obejmujące ją ramiona Jake'a. Tamto to przeszłość... Daleka, nie istniejąca. Nie trzeba się już bać. Otworzyła oczy. Patrzył na nią troskliwie, uspokajająco... Napawała się jego krzepiącą bliskością, ale wciąż jeszcze słowa więzły jej w gardle. Wreszcie przemogła się.

- Tommy... - odchrząknęła - Tommy włożył mi węża za sukienkę. Sukienka była obcisła, dopasowana w talii. Nie mo-

głam go wyjąć. Prześlizgiwał się od tyłu do przodu, od przodu do tyłu, wił mi się na brzuchu, czułam go między... - Załamał jej się głos.

- A to... - Jake zaklął szpetnie, ale natychmiast opanował się, wiedząc, że jego wściekłość w niczym tu nie pomoże, i pochylił się nad nią z czułością. - Mój Boże, jak ty to przeżyłaś?

- Nie najlepiej - przyznała drżącym głosem. - Dostałam ataku histerii. Nie byłam w stanie normalnie mówić, wyjaśnić, co się stało, a tylko krzyczałam, krzyczałam, krzyczałam, aż w końcu straciłam przytomność. Przyjechało pogotowie. Kiedy się ocknęłam, musieli zrobić mi zastrzyk na uspokojenie.

- A co z tym łobuzem i jego kompanią?

Wzruszyła ramionami.

- Babcia już tego dopilnowała, żeby położono kres tym jakimś obrzędom inicjacyjnym, w które bawili się chłopcy z gimnazjalnego bractwa. Rodzice Tommy'ego mieli obowiązek pilnować go przez całe lato... dostał areszt domowy.

- Należało mu się ciężkie lanie - mruknął zawzięcie Jake. - Posiekałbym mu tyłek na kotlety.

Uśmiechnęła się blado.

- To samo powiedziała moja babcia. W życiu nie widziałam jej tak rozsierdzonej. Była delikatną, dobrą osobą, prawdziwą damą, ale wtedy, gdyby mogła, rozniosłaby końmi całe to bractwo.

- A ty? Nie poszłaś im nawymyślać?

Westchnęła i odwróciła wzrok.

- Byłam zbyt zdruzgotana, żeby zareagować. Zresztą, co by to dało? Czy można wyzbyć się poczucia hańby? Pozostał mi też paniczny strach przed wężami i niechęć do dnia 4 lipca.

Jake'owi ścisnęło się serce. Wszystko to było takie bezsen-

sowne, takie wredne... Świadomość, że bezmyślny żart jakichś durnych sztubaków pozostawił w duszy Sary aż takie blizny, doprowadzała go do furii.

- Czy ten łobuz mieszka nadal w Oak Grove? - zapytał, starając się nie uzewnętrzniać wszystkiego, co czuł.

Pokręciła głową.

- Nie. Rok po tamtym wydarzeniu wyprowadził się z całą rodziną. Nie ma też tu już nikogo z jego dawnych znajomków z bractwa. Duża część młodzieży wyjeżdża stąd, żeby się uczyć, a potem nie wraca.

Przytulił ją do siebie mocniej. Pragnął ją chronić, podtrzymać na duchu, naprawić skrzywiony przez tamtego łajdaka obraz samej siebie. Opanowały go uczucia tak silne, że nagle zapragnął zrobić coś konkretnego. W uczuciach zawsze się gmatwał -w działaniu nigdy.

- 4 lipca wypada w przyszłym tygodniu - powiedział ożywiony. - Jeśli chcesz, spędzimy ten dzień we troje.

- Będziesz chciał pokazać Nikki paradę, pójść na festyn i fajerwerki...

- Z tobą.

Zauważył, że zawahała się.

- Dobrze ci to zrobi, Saro. Chyba nie zmierzasz do końca życia chować się w to święto przed całym światem.

Spojrzała na niego i powoli pokręciła głową.

- Nie zamierzam.

- No, to szykuj się na randkę.

Uśmiechnęła się, a jemu aż zaparło dech. Uśmiech ten, który zupełnie ją odmienił, zmieniał też sytuację. Do tej pory uczuciami Jake'a rządził niepokój. Dopiero ten uśmiech go odblokował. Nagle odczuł, że obejmuje kobietę. Mocne, zmysłowe

wrażenie jej bliskości sprawiło, że zagrała w nim krew. Chłonął zapach jej włosów, ciepło piersi nad swoją ręką. Och, jakże dobrze je zapamiętał! Ich wygląd, ciężar, smak sutków prężących się pod jego językiem. Targnęło nim wspomnienie pocałunku i zatęsknił za tym, żeby go powtórzyć. Nachylił się, lecz nagle w jego głowie rozległ się alarm: Nie rób tego! Kiedy błagał ją o powrót na ranczo, obiecał - i jej, i sobie - że nic takiego już się nie powtórzy. Zasługiwała na więcej, niż był w stanie z siebie dać, i nie zamierzał jej zwodzić.

Spostrzegł, że rozbłysły jej oczy, i poczuł się winny. Tak nie wolno! Dosyć już się nacierpiała przez mężczyzn! Na diabła jej romans z napalonym kowbojem i kolejne cierpienia! Nie mógł jej dać tego, co jej się naprawdę należało i czego w głębi duszy pragnęła - mieć męża, dom, rodzinę. Uosabiał zbyt wielkie ryzyko, a Sara miała już za sobą dość złych doświadczeń!

Wypuścił ją z objęcia i wstał.

- Skoro czujesz się lepiej, to pójdę. Mam sporo pracy.

Nie poczekał na odpowiedź. Był rozpalony, miał chaos w głowie i strasznie się bał, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, to nie potrafi się opanować - złamie przyrzeczenie i postąpi niewybaczalnie: złamie jej serce,

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Hura! Ale fajnie! - Nikki szalała z emocji. Rozpędzona kolejka wjechała na szczyt trasy w wesołym miasteczku i miała właśnie ruszyć w dół. - Czuję się, jakbym była na wierzchołku świata!

Ja też, wtórowała jej w myślach Sara. Zerknęła nad głową dziewczynki i uchwyciła spojrzenie Jake'a. Uśmiechnął się lekko, a jej serce zaczęło pędzić szybciej niż diabelskie koło, na którym kręcili się wcześniej.

Nigdy by nie przypuszczała, że potrafi bawić się 4 lipca tak świetnie, ale dzień naprawdę mijał wspaniale. Wszyscy troje wstali wcześnie i pojechali do miasta, żeby zająć sobie dobre miejsca do oglądania parady. Okazało się to właściwie niepotrzebne, ponieważ prawie całe Oak Grove szło w pochodzie. Nikki napawała' się widokiem transparentów, żywych obrazów i królowych piękności, a Sara rozkoszą, jaką dawało jej wymienianie z Jakiem rozbawionych spojrzeń, gdy uradowana dziewczynka podskakiwała z emocji. Kiedy parada się skończyła, postanowili pójść na jarmark i obejrzeć targi rękodzieła artystycznego. Chodzili między straganami najpierw we troje, z Nikki w środku, ale mała wyrwała im się i pobiegła przodem. W pewnej chwili Sara uświadomiła sobie, że trzyma za rękę już nie Nikki, a Jake'a. Zabawne, jak coś tak w gruncie rzeczy błahego zmieniło perspektywę. Ktoś mógłby sobie pomyśleć, że stano-

wią parę. Zastanowiło ją, czy Jake to sobie uświadamia, a jeśli nie, to czy w którymś momencie nie puści jej ręki jak oparzony. Kiedy jednak natknęli się na Sue Ellen i przystanęli, żeby porozmawiać, przyciągnął ją bliżej i pozwolił, by seksowna blondynka niemal udławiła się z zazdrości.

Z trzema hot-dogami, dwiema torbami popcornu, a potem i z cukrową watą na patyku przechadzali się niespiesznie między straganami, aż Sara przystanęła przy dużym straganie z ubrankami dla dzieci.

- Jakie to ładne - powiedziała, oglądając bluzę z aplikacjami w kształcie jabłuszek. Drobna kobieta z plakietką targów poderwała się z krzesła. - Sama pani to szyła?

Kobieta z dumą kiwnęła głową.

- Piękny wyrób,

- Piękny - zawtórowała Sarze Nikki. - Śliczne jabłuszka.

- Czy ma pani jej rozmiar? - zapytał Jake.

- A dokładnie?

Potarł brodę.

- Dokładnie to nie wiem... - Zerknął speszony na Sarę. - Nie znam się na tym, nie mam pojęcia. Kupowaniem ubrań dla Nikki zajmowała się dawniej nasza gospodyni.

Sprzedawczyni zmierzyła Nikki wzrokiem.

- To będzie... chyba dwójeczka.

Zdjęła bluzę z wieszaka i przyłożyła ją do dziewczynki.

- Podoba ci się? - spytał Jake.

- Chciałabym nosić sukienki...

- W tych sprawach jestem głupi jak bawół. - Spojrzał znowu na Sarę. - Czy mógłbym cię prosić o to, żebyś wybrała parę rzeczy dla Nikki?

Prosić? O niczym nigdy bardziej nie marzyła, niż o tym, żeby móc chodzić i wybierać stroje dla dziewczynki. Naturalnie, w marzeniach było to jej własne dziecko. Tyle że nie wyobrażała sobie, żeby mogła kochać je bardziej niż Nikki.

- To dla mnie wielka frajda, zaraz się...

- O, popatrzcie! - zawołała dziewczynka. - Sukienka księżniczki. Jaka śliczna!

Sara pobiegła spojrzeniem za palcem Nikki. Wiatr rozwiewał długą różową koszulkę z bufiastymi rękawami.

- To nocna koszula - podpowiedziała sprzedawczyni. - Żaden ogień jej nie ruszy. Jest uszyta w całości z materiałów niepalnych.

- Przepiękna... - Sara zerknęła szybko na Jake'a, czując, że powinna najpierw po cichu zorientować się, czy aprobowałby taki zakup, a nie od razu przytakiwać dziecku. Ale Jake tylko się uśmiechnął.

- Bierzemy - powiedział, siadając na jednym z krzesełek ustawionych dla wygody kupujących. - Pozwolicie, że sobie usiądę. Mam wrażenie, że pobędziemy tu nieco dłużej.

Zupełnie, jakbyśmy byli rodziną... Sara uśmiechnęła się do siebie, buszując razem z Nikki wśród wieszaków. Gdzieś w tle tego wrażenia pojawiło się ostrzeżenie, że nie powinna tak myśleć, że pozwala sobie na nadmierną bliskość w stosunkach z Jakiem i jego dzieckiem. Przecież już pierwsze rozstanie prawie ją zabiło. Przebywała w ich domu tymczasowo i powinna mądrze strzec swego serca. Tylko że... Tak dobrze, tak cudownie było żyć w baśni. Poza tym Jake nie podjął żadnych działań, żeby znaleźć pomoc na stałe, a dziś zachowywał się tak, jakby byli na randce. Może więc, może po prostu...

- Dzień dobry!

Odwróciła się i zobaczyła Buddy'ego i Hanka z żonami. Po powitaniu i krótkiej wymianie zdań pracownicy Jake'a pożegnali się i przeszli dalej. Buddy jednak zatrzymał się w pół kroku.

- Byłbym zapomniał - zwrócił się do Jake'a. - Jakiś czas temu pytałeś, czy nie znam kogoś do dziecka. Tak się składa, że znam. Moja ciotka kocha dzieci, a dzieciaki ją. Dobrze gotuje i czysto utrzymuje dom. Jest wdową, a ponieważ jej najstarszy syn właśnie opuścił domowe pielesze, szuka zajęcia. Jak chcesz, dam ci jej numer.

- Dziękuję.

Sara wróciła między wieszaki, próbując ukryć popłoch, w jaki wprawiła ją propozycja Buddy'ego, i myśleć racjonalnie. To, że Jake, dostał jakiś kontakt, nie znaczyło przecież jeszcze, że
miała się zaraz wynosić. Ciotce Buddy'ego nie musiało się spieszyć, nikt niczego takiego nie sugerował. Skoro jednak na horyzoncie pojawiła się osoba, gotowa przyjąć posadę gospodyni, znikał tym samym powód, dla którego ona sama miałaby pozostawać na ranczu. A rozpaczliwie tego pragnęła. I to nie w roli pomocy, ale, żony Jake'a i matki Nikki. Czując, że kręci jej się w głowie, przytrzymała się wieszaka.

- Panno Saro? - zagadnęła ją Nikki. - Czy tatuś da mi na jeszcze jedną cukrową watę, kiedy stąd pójdziemy? On mi zwykle nie pozwala jeść słodyczy, ale było tak fajnie... Dziś święto...

Sara poszukała wzrokiem Jake' a, który znowu usiadł na krzesełku.

- Święto - zgodził się, patrząc na nią z takim uśmiechem, że zrobiło się jej słabo. - Jeszcze zobaczymy, ale w taki dzień wszystko jest możliwe.

Sara zwróciła się ku niebiosom z cichym, gorącym błaga-

niem, modląc się o to, żeby.., żeby być może... żeby, och, żeby... Amen.

Kiedy dokończyli kurczaka z rożna i we dwoje zapakowali wiklinowy koszyk, słońce chyliło się już ku zachodowi.

- Świetny pomysł z tym przeniesieniem się na piknik tutaj - powiedział Jake, prostując nogi i opierając się na łokciach. Patrzył na ciemniejące jezioro. Przedwieczorna bryza niosła falę do brzegu. Szumiały dęby, rechotały żaby. Westchnął z ukontentowaniem. - Potrzeba mi było odrobiny spokoju i ciszy.

- Nie tylko tobie. - Zerknęła czule na śpiącą na kocu Nikki. Poszedł za jej spojrzeniem i uśmiechnął się szeroko.

- Naprawdę się przygotowałaś... Zapakowałaś papierowe talerzyki, plastikowe widelce, serwetki, ho, ho, cały ekwipunek.

Odgarnęła kosmyk włosów za ucho. Był to jej częsty gest, ale teraz wydał mu się niepokojąco zmysłowy.

- Zanim przestałam obchodzić święto 4 lipca, robiłyśmy tu sobie z babcią pikniki w oczekiwaniu na pokaz fajerwerków. Dzisiaj zabrałam koszyk babci, na wypadek gdybyśmy chcieli zrobić to samo.

- Bardzo dobrze. To piękne miejsce. Czy będzie stąd widać fajerwerki?

Kiwnęła głową.

- Wystrzeliwują je z łodzi, na środku jeziora. Będziemy stąd mieli taki sam widok jak ludzie na drugim brzegu. - Zaplotła ręce na kolanach i westchnęła. - Było cudownie, ale dobrze jest wymknąć się z tłumu.

- O tak...

Patrzył na jezioro, na daleki horyzont, gdzie woda zlewała się z niebem, wypełniony świadomością, że są tu razem i że jej

pragnie. Przez cały dzień nie opuszczało go szalone podniecenie, choć zaczęło się od szlachetnych pobudek. Chciał jedynie pomóc jej przetrwać ten dzień wiążący się z okropnymi wspomnieniami. Wydawało mu się, że nic się nie stanie, jeśli da jej do zrozumienia, że bardzo mu się podoba. Miała to być jakaś rekompensata za poniżenie sprzed lat. Postanowił więc poflirtować z nią troszeczkę.

Troszeczkę? - zakpił w duchu i poruszył się niespokojnie. Przecież przez cały dzień tęsknił za nią jak oszalały z miłości kojot. Sam nie wiedział, kiedy to się stało, ale gdzieś po drodze pogubił szlachetne intencje i zaczął zachowywać się wobec niej tak, jak pragnął zachowywać się od początku - jak mężczyzna zdobywający kobietę.

Zerknął na nią i szybko odwrócił wzroki Do diabła, pomyślał przegarniając ręką włosy. Nikt by go za to nie winił. W tych swoich czerwonych szortach wyglądała zabójczo. Aż trudno uwierzyć, że kiedykolwiek wyśmiewano jej brak urody. Przecież w każdym normalnym mężczyźnie musiała wywoływać dreszcz!

Patrzył na jej profil, zastanawiając się, jak wyglądała, kiedy była nastolatką. Pomyślał o niej takiej, jaka musiała być jako piętnastoletnia dziewczyna - niezgrabna, brzydka, boleśnie tego świadoma - i zrobiło mu się przykro.

To nie w porządku, myślał, że świat ocenia ludzi po wyglądzie. A już najgorzej jest w szkole średniej. Jego własne doświadczenia z tego okresu życia były krańcowo odmienne niż Sary, ale też nieprzyjemne. Dziewczyny szalały za nim wyłącznie ze względu na jego urodę. Bezmyślnie, bez zastanowienia, kim jest i jaki jest. Był dla nich jedynie czymś w rodzaju trofeum, potwierdzeniem własnej atrakcyjności. Ale sam też nie był lepszy, kompletnie powierzchowny, płytki... Zainteresował się

Clarissą, bo - piękna, wyniosła, prowokująca - stanowiła wyzwanie. Dopiero później miał się boleśnie przekonać, że puste piękno prędko traci swój blask.

Kiedy naprawdę poznał Clarissę, przestał uważać ją za piękną. Z Sarą natomiast było wręcz odwrotnie. Z biegiem czasu wydawała mu się coraz atrakcyjniejsza.

Raptownie usiadł, zaniepokojony swoimi myślami. Nie chciał przyznać się do tego, że się z nią aż tak mocno wewnętrznie związał. Musiało być jakieś bardziej racjonalne wyjaśnienie tego czaru, jaki na niego rzuciła. Oczywiście... Pewnym kobietom trzeba czasu, żeby rozkwitły, a uroda Sary rozkwitła właśnie tego lata. Otóż to, koniec, kropka. Jaki tam koniec, pomyślał, rzucając jej kolejne zachwycone spojrzenie, Po prostu kwitła w oczach. Podobała mu się zawsze, od pierwszej chwili, ale teraz wrażenie było nieodparte. Powiódł wzrokiem po jej opalonych nogach i zatrzymał się na wspaniałym profilu piersi. Nim zdążył spojrzeć jej w twarz, zorientowała się, że ją obserwuje. Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Miałam dziś naprawdę wspaniały dzień - powiedziała miękko, wyciągając do niego rękę.

- Ja też. - Przytrzymał jej dłoń. Gorące zauroczenie wibrowało między nimi, domagało się spełnienia.

Tylko spokojnie, Jake westchnął głęboko i popatrzył na jezioro, lecz ręka Sary wydała mu się kluczem do bram raju. Ścisnął lekko jej palce.

- Czy fajerwerki zaczną się już niedługo? - spytała.

Już się zaczęły, pomyślał. Spojrzał na nią i poruszył grdyką. Przez cały dzień marzył o tym, żeby się z nią całować, i nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła się powstrzymywać. Odpowiedział mruknięciem i Sara również utkwiła wzrok w jeziorze.

Był już zmierzch, zrobiło się prawie ciemno, ale wciąż jeszcze dokładnie widział jej profil - grzywkę, rzęsy, delikatny zarys policzka. Bez zastanowienia wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy. Odwróciła do niego głowę. Jej oczy przyzywały go, uwodziły, podobnie jak rozchylone wargi.

- Jeśli mnie zaraz nie pocałujesz, to chyba umrę - powiedziała śmiertelnie poważnie, niskim, zmienionym głosem.

Wszystkie zahamowania i przysięgi Jake'a obróciły się w perzynę. Chwilę później całowali się namiętnie. Czuł jej rozwierające się usta, napór piersi. Położył się plecami na kocu i pociągnął ją na siebie. Była rozgrzana, miękka, chętna. Pragnęła go gorąco i niczego nie udawała. Czuł, jak w cielesnym pragnieniu otwiera się dla niej cały - sercem, duszą, wszystkim. Nagle zabrakło mu powietrza. Ogarnęła go panika.

- Sara... - Usiadł, podnosząc się razem ż nią.

- Nic nie mów - szepnęła, kładąc mu palce na ustach. - Nie myśl. Tylko czuj.

Ujęła jego głowę i pocałowała go w usta tak słodko i tak żarliwie, że momentalnie przestał myśleć. Zawładnęło nim coś silniejszego od wszelkich postanowień, coś, z czym nie miał już siły walczyć. Jęknął i przyciągnął ją mocniej do siebie.

- Czy panna Sara będzie moją drugą mamusią?

Jake znieruchomiał, po czym błyskawicznie odsunął się od Sary i odwrócił głowę. Nikki siedziała na kocu po turecku i patrzyła na nich zaciekawiona. Chrząknął nerwowo.

- Panna Sara i ja, no, zwyczajnie...

- Całowaliście się, widziałam. - Dziewczynka uśmiechnęła się całą buzią i parę razy podskoczyła z emocji. Zielone ognie rozświetliły niebo, ale nie odwróciło to jej uwagi. - To znaczy, że się ożenicie?

Boże mój! Wpadłem. Jake odchrząknął znowu, unikając oczu Sary.

- Nie, skarbie.

- Ale się całowaliście, widziałam.

- Jeśli dwoje ludzi się całuje, nie oznacza to jeszcze, że zamierzają się pobrać.

- Tylko co? - Nikki ze skrzywioną miną wyglądała jak mały troll.

- Że na przykład bardzo się lubią.

- A nie moglibyście wziąć ślubu? Panna Sara byłaby najlepszą mamusią na świecie.

Sara, do głębi poruszona, zerknęła na Jake'a, lecz w dalszym ciągu unikał jej oczu.

- Nie zamierzam się żenić, skarbie. Ani teraz, ani nigdy - powiedział łagodnie.

- Ale ja chcę mieć mamę, a panna Sara naprawdę... Tatku...

Powinnam była to przewidzieć, wyrzucała sobie Sara. Pokochała Nikki tak mocno, że w marzeniach widziała ją jako swoją córkę. Nic dziwnego, że dziecko zaczęło pragnąć tego samego.

- Jest nam dobrze tak, jak jest. - Głos Jake'a był napięty i szorstki.

- Ale lepiej z panną Sarą. Dużo, dużo lepiej!

Odetchnął głośno i potarł twarz.

- Popatrzmy na fajerwerki — odparł, uśmiechając się z trudem. - A potem, przed powrotem do domu, pójdziemy jeszcze na lody.

Wielki, kolorowy pióropusz świateł rozjarzył niebo. Świecił przez kilka sekund, po czym zgasł. Jak wszystkie moje nadzieje, pomyślała gorzko Sara. Jak perspektywa przyszłego życia u boku Jake'a. Jak żar serca.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Wolałbym, żeby w tygodniu mieszkała pani tutaj. Obowiązki na ranczu każą mi wstawać przed świtem, w związku z czym ktoś musi przygotować córce śniadanie, wyprawić ją i zawieźć do przedszkola. Będzie pani miała do swojej dyspozycji pokój z łazienką... Tak, oczywiście... Weekendy będzie pani miała wolne.

Sara przystanęła w pół kroku przed drzwiami kuchni. Jake stał z telefonem przy uchu, odwrócony do niej plecami. Nie chciała podsłuchiwać, ale nogi dosłownie wrosły jej w ziemię.

Przełożył słuchawkę do drugiego ucha.

- Tak... To kiedy mogłaby pani zacząć? Może od poniedziałku? Rozumiem... No to znakomicie. Czekamy. Buddy wyrażał się o pani w samych superlatywach, a to dla mnie najlepsze referencje. A zatem, do rychłego zobaczenia.

Słuchawka stuknęła o widełki. Sara, ogłuszona wiadomością, nie była w stanie się poruszyć i kiedy się odwrócił, stała dalej w progu.

- Ach, to ty... - Na jego twarzy malowało się poczucie winy. - Nie... Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Kiwnęła głową i przemagając wewnętrzny opór, weszła do kuchni.

Przeczesał ręką włosy.

- Posłuchaj... my... Musimy porozmawiać. Tak w ogóle... Myślę, że najlepiej będzie, jeśli...

Zamknęła oczy, starając się opanować. Przecież wiedziała... Od ubiegłego wieczoru, kiedy Nikki przyłapała ich na całowaniu, wiedziała, że Jake podejmie radykalne kroki, żeby raz na zawsze wykluczyć ją ze swego życia. Wiedziała wszystko, ale wysłuchiwanie, jak o tym mówi, przerastało jej siły.

- Rozumiem. - Odetchnęła głęboko. - Pójdę się pakować.

- Poczekaj... Sara...

Zawahała się i odwróciła w progu. Patrzył na nią z udręką w oczach.

- Nie ma pośpiechu, naprawdę... Jest dopiero sobota. Usiądź, zrobię ci śniadanie. Przecież nie musisz już...

- Muszę.

Przeszywał ją ostry, przenikliwy ból. Wiedziała, że tak to będzie. Przewidziała ten ból. Był karą za głupie marzenia, za udawanie, za próbę oszukania rzeczywistości. Zapiekły ją łzy. Odwróciła się i czym prędzej pobiegła do swojego pokoju.

Nie będę płakać, nie będę, mówiła sobie, otwierając szufladę. Wyjęła bieliznę i ułożyła ją na łóżku, a potem otworzyła następną, w której przechowywała równiutko złożone dżinsy. Trzeba spakować się jak najszybciej i wyjechać, zanim obudzi się Nikki. Wsiąść do samochodu i wrócić do pustego domu. Zamknąć za sobą drzwi i mocno je zaryglować. Dopiero wtedy można będzie wypłakać się do woli.

- Sara! Święty Boże! - W drzwiach stanął Jake. - Ja nie chcę, żeby to się tak kończyło. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała w takich nerwach. Ja nigdy... - Wypuścił powietrze z płuc i wsunął rękę do kieszeni. - Nie chciałem, żebyś przeze mnie cierpiała.

Wyciągnęła z szafy walizkę, położyła ją na łóżku i gwałtownymi, nerwowymi ruchami zaczęła w niej upychać ubrania.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - rzuciła, nie odwracając głowy.

- Bo przeze mnie się cierpi...

Serce waliło jej jak młotem, wypełnione po brzegi tym wszystkim, co cisnęło się jej na usta. Czemu tak się uparłeś? Nie jesteś swoim ojcem, a ja twoją zmarłą żoną. Pasujemy do siebie, Nikki nas kocha. Dlaczego nie chcesz wyzwolić się z przeszłości i choćby odrobinę uwierzyć w przyszłość, w samego siebie? Patrzyła na niego, czując, że wszystko w niej umiera. Po co mówić? Po co tłumaczyć to człowiekowi, który odrzucał jej miłość i nie chciał jej pokochać?

Twierdził, że zasługiwała na kogoś, kto pokocha ją całym sercem. Co za ironia, myślała z goryczą, zatrzaskując walizkę. To dzięki odnalezionemu szacunkowi dla samej siebie, który pomógł jej na nowo w sobie odkryć, wiedziała, że Jake ma rację. Zrozumiała też jednak i to, że pragnie nie tylko być kochaną, ale i prawdziwie kochać. Najstraszniejsze było to, że w głębi duszy wiedziała, że nigdy nie pokocha nikogo całym sercem, tak jak właśnie Jake'a Mastersa.

- Panno Saro, ty się pakujesz? Dlaczego?

Podniosła głowę, słysząc głosik Nikki. Była w swojej nowej różowej koszulce. Stała obok Jake'a, tuliła misia i patrzyła na nią z niepokojem. Sarę ogarnęła panika. Zerknęła na Jake'a.

- Pora jechać, skarbie. Muszę wracać do siebie. Tatuś znalazł wam gosposię na stałe.

- Nie chcę żadnej gosposi, tylko ciebie.

- Będziemy się widywały w przedszkolu.

- Ale tutaj cię nie będzie.

- Będę ja i pani Worth - wtrącił Jake, - To bardzo miła pani, ciocia Buddy'ego. Na pewno ją pokochasz.

- Nie tak jak pannę Sarę! - Dziewczynka podbiegła do Sary i objęła ją z płaczem. - Chcę, żeby została z nami i była moją mamusią!

Ze łzami w oczach Sara spojrzała na Jake'a.

- Chodź, Nikki, zrobię ci śniadanie - powiedział twardo. - Zostaw pannę Sarę, pozwól jej spokojnie się spakować.

- Nie!!! - zaszlochała dziewczynka, chowając twarz w fałdach jej spódnicy. - Nie jedź! Nie odjeżdżaj!

Sara gładziła ją po głowie. Nie była w stanie mówić.

- Nikki! Musimy dać się jej spakować. Pójdziesz ze mną po dobrej woli, czy mam cię stąd wynieść?

W odpowiedzi rozszlochała się jeszcze głośniej i mocniej przywarła do Sary. Odczekał chwilę, ale w końcu kategorycznie przeszedł przez pokój, wziął Nikki na ręce i wyniósł ją.

Nie rozpłaczę się, nie rozpłaczę, zaklinała się Sara, łykając słone łzy. Tego mi teraz nie wolno. Trzeba rozstać się w taki sposób, żeby Nikki tego aż tak nie przeżywała. Jeśli tak mocno brała sobie to do serca już teraz, to wieczorem w ogóle nie zaśnie. Zapowiadał się koszmar. .

Nagle przyszła jej do głowy myśl zrodzona z rozpaczy i desperacji. Bajka o księżniczce... Trzeba nagrać tę bajkę i zostawić kasetę na łóżeczku Nikki. Roztrzęsiona, wyszła na korytarz i postała chwilę, żeby się upewnić, czy oboje są na dole. Uff! Skończę się tylko pakować i zaraz zajmę się nagraniem, myślała. Miejmy nadzieję, że kaseta osłodzi Nikki rozłąkę. A być może nagrywanie pomoże także mnie. Uspokoję się i pojadę.

Kiedy w środę rano Jake otworzył drzwi przedszkola, zadźwięczały dzwoneczki i przez sekundę nie był pewien, skąd dochodzą te dźwięki. Był taki roztrzęsiony, że równie dobrze mogły się rozlegać w jego własnej głowie. Przez dwa ostatnie dni Nikki odwoziła pani Worth. Nie widział Sary od jej wyjazdu, chociaż była z nim wszędzie - w kuchni, w ogrodzie, w nocy, gdy nie mogąc zasnąć, przewracał się na łóżku z boku na bok w swoim pokoju oklejonym wybraną przez nią tapetą, i w niespokojnym śnie, gdy wreszcie zmęczony usypiał.

Zobaczył ją teraz od razu. Siedziała na podłodze, otoczona dziećmi, którym czytała dużą, rozłożoną książkę z obrazkami. Podniosła wzrok i urwała w pół zdania.

- Daj, poczytam im dalej. - Deb podeszła szybko do kręgu i usiadła z dziećmi.

Sara podniosła się powoli i podeszła do Jake'a.

- Gdzie Nikki? - zapytała z niepokojem. - Zachorowała?

- Nie. Czy możemy na moment wyjść?

Przytrzymał jej drzwi i od razu ogarnął ich lipcowy upał.

- Przyjechałem, żeby ci powiedzieć, że zabrałem Nikki z waszego przedszkola.

Wiedział, że ją to zaboli, ale - usprawiedliwiał się przed sobą - robił tylko to, co musiał zrobić. Dla jej dobra i dla dobra Nikki. Patrzył przez dłuższą chwilę na czubki swoich kowbojskich butów i nagle szybko spojrzał jej w twarz.

- Wiedz jedno: jesteś wspaniałą nauczycielką i wysoko oceniam waszą placówkę, ale... Jej jest bardzo ciężko. Pani Worth mówi, że płacze, kiedy ją stąd zabiera... W domu też tylko płacz i płacz. Myślę, że będzie łatwiej... i jej, i w ogóle nam wszystkim, jeśli to ostatecznie przerwiemy.

- Ro... rozumiem.

- Zapisałem ją do „Zielonego drzewka" - wymienił nazwę innego przedszkola.

Odetchnęła gwałtownie.

- To... to dobra placówka.

- Nie mogę już patrzeć, jak się smuci. - Czuł do siebie wstręt za cierpienie, którego przysparzał Sarze. - Tobie też na pewno jest nielekko.

- I dlatego postanowiłeś odseparować swoją córkę ode mnie?! Dlatego, że jesteśmy sobie bliskie? To ma być rozwiązanie? Powiedz mi, Jake - wybuchnęła - czy masz zamiar tak z nią postępować zawsze, gdy przywiąże się do jakiejś kobiety?

Nigdy jeszcze nie widział, żeby jej oczy pałały takim gniewem. Wytrąciło go to z równowagi.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Rozumiem. To znaczy, że chodzi ci wyłącznie o mnie. A co ja - wsparła ręce na biodrach - ci takiego zrobiłam? No, co?

- Nic. Nic złego. Przeciwnie. - Przeczesał ręką włosy i przestąpił z nogi na nogę. Miał dosyć tej rozmowy, sytuacji, samego siebie. - Byłaś wspaniała, a nawet, jeśli mam być szczery, zbyt wspaniała. Nikki zwariowała na twoim punkcie i wymyśliła sobie, że będziesz jej matką. Nie chcę rozbudzać w niej marzeń i tęsknot, które nigdy się nie spełnią.

I ty także nie powinnaś tego robić. Nie wypowiedział tych słów, ale przecież zawisły między nimi w powietrzu. Opanowując drżenie warg i łzy cisnące się do oczu, spuściła wzrok.

- Pójdę po rzeczy - wybąkała, odwracając szybko głowę, lecz nim weszła do środka, zauważył, że płacze. Zaklął pod nosem. Jak mógł dopuścić do tego, żeby cierpiała? Dlaczego

pozwolił zajść sprawom za daleko? Po co to wszystko? Po co się angażować i wiązać? To tylko jedna wielka udręka.

Wróciła po paru minutach z plastikową torbą. Wziął ją od niej, postawił na ziemi i wyjął portfel.

- Sara... -Wyciągnął w jej kierunku kilka studolarowych banknotów. - Uratowałaś nas. Wiem, że nigdy ci się za to nie wywdzięczę, ale chciałbym, żebyś przyjęła to ode mnie.

- Nie chcę od ciebie pieniędzy.

- Proszę cię... tak mi będzie łatwiej.

- Łatwiej? - W jej oczach zabłysła uraza i cierpienie. -Co ty mówisz? Zachowujesz się tak, jakbyś nic nie rozumiał, pozwól więc, że powiem wprost: Miłość to dar. Nie można jej kupić ani podziękować za nią pieniędzmi. To nie jest coś, co da się kontrolować czy porcjować. Miłość po prostu jest. A ty, Jake, uważasz, że możesz swemu sercu rozkazywać. Że masz nad nim władzę. Postanowiłeś sobie, że nikomu go już nie dasz, więc nie dajesz. I wiesz co? Dopóty tak będziesz myślał, dopóki nic nie otrzymasz. Bo uczucie to taki dziwny dar. Otrzymuje je tylko ten, kto sam potrafi dawać.

Odwróciła się na pięcie i wbiegła do budynku. Kiedy trzasnęły drzwi, miał wrażenie, że zamknęło się przed nim na zawsze coś, czego potrzeby nie uświadamiał sobie, aż do chwili gdy zostało mu to odebrane.

- Sara? Tu Mary z „Zielonego drzewka". Słuchaj, dzwonię w sprawie Nikki Masters. Jest może u ciebie?

- Nie. Nie widziałam jej od ubiegłego tygodnia... to znaczy od czasu, kiedy ojciec przepisał ją do was. A co takiego?

- Zniknęła.

Sarze przestało bić serce.

- Jak to: zniknęła?

- Była tu jeszcze przed godziną. Bawiła się z dziećmi na huśtawkach, ale musiała chyba wejść do budynku i wymknąć się frontowymi drzwiami. Pomyślałam, że może przyszłaś po nią. Ciągle o tobie mówi i rano powtarzała, że musi się z tobą zobaczyć. Torba z misiem i kocykiem też zniknęła, więc miałam nadzieję, że... - Mary załamał się głos. - O matko! Już nie wiem, co robić. Chyba zadzwonię na policję. Masters zaraz tu będzie, dzisiaj on miał ją odebrać... Przepraszam, że cię niepokoję... Trzymaj się.

Sara odwiesiła słuchawkę. Była przerażona.

- Coś ty taka blada? -Deb rzuciła jej bystre spojrzenie. - Stało się co?

- Nikki... Nikki zaginęła. Mam okropne przeczucie, że uciekła, żeby spotkać się ze mną. To wszystko moja wina. Muszę ją odnaleźć.

- O żadnej winie nawet nie myśl. - Deb zmarszczyła brwi. - Ale biegnij. Posiedzę tutaj do czasu, aż rodzice odbiorą wszystkie dzieci, a potem postaram się ci pomóc.

- Dzięki! - Sara chwyciła torebkę i pobiegła do samochodu. Dobry Boże, czuwaj nad tym dzieckiem, modliła się, siadając za kierownicą. Ustrzeż ją od złego, proszę Cię, błagam. Spraw, żeby szybko się odnalazła.

„Zielone drzewko" znajdowało się na drugim krańcu miasteczka i kiedy tam dotarła, przed przedszkolem stały już dwa wozy policyjne i terenowy samochód Jake'a.

Mary, drobna, ciemnowłosa kierowniczka placówki, siedziała w swoim maleńkim gabinecie, wydzwaniając w różne miejsca. Jej zazwyczaj rumiana twarz była szara jak popiół.

- Masz jakąś wiadomość? - rzuciła Sara od drzwi.

Mary pokręciła głową.

- Policja przeszukuje, teren. Sprawdzali już okoliczne bloki, ale nic...

- Gdzie jest Masters?

- Rozmawia z policjantami.

- No to idę. - Odwróciła się i miała wyjść, ale przerażone oczy Mary obudziły w niej współczucie. - Nie zamartwiaj się - powiedziała z ręką na klamce. - Wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję. Za parę godzin zrobi się ciemno...

- Nie mogła odejść daleko.

- A jak ją ktoś porwał? Och, Sara, Sara... - Mary rozpłakała się. - To przeze mnie. Nie upilnowałam jej. Jeśli temu dziecku coś się stanie, to... - Ukryła twarz w dłoniach.

Zimny dreszcz przeszedł Sarze po plecach. W jednej sekundzie przypomniały się jej przypadki porwań, o których donosiły gazety. Walcząc z narastającym uczuciem paniki, objęła płaczącą koleżankę.

- Znajdziemy ją - powiedziała pewnie, chociaż, wcale tej pewności nie miała. Nie miała też pojęcia, jak dalej postępować. Objechać uliczki samochodem, czy też szukać Nikki pieszo? Czy mogła działać skuteczniej niż policja? Bardzo wątpliwe, ale siedzieć i czekać z założonymi rękami też nie mogła. Należało się spieszyć. Słońce już zachodziło.

Spróbowała wejść na moment w skórę Nikki i myśleć tak jak czteroletnie dziecko. A więc: wychodzi frontowymi drzwiami, staje i - dokąd biegnie? Prosto przed siebie. Kierując się instynktem, Sara biegła chodnikami, nawołując dziewczynkę po imieniu. Od czasu do czasu natykała się na policjanta lub patrolujący ulice samochód szeryfa. Po mniej więcej półgodzinie ogarnęła ją czarna rozpacz. To nie ma sensu, pomyślała.

Cała najbliższa okolica została już dokładnie przeszukana. Postanowiła zawrócić do przedszkola, gdy nagle wydało się jej, że coś słyszy.

- Nikki!- zawołała, łudząc się jeszcze.

- Panna Sara?

- Tak, skarbie, to ja - odpowiedziała, przyciskając ręką walące serce. - Gdzie jesteś?

- A kuku! -Po przeciwnej stronie ulicy rozchyliły się gałęzie ogromnej azalii.

- Nikki! - Sara podbiegła do dziewczynki, uklękła na trawniku i- przytuliła ją do siebie z całych sił.

Zapiszczały opony przejeżdżającego wozu policyjnego, a potem... Potem widziała już tylko to, że obok niej klęka Jake i obejmuje swoją córeczkę. Nikki zarzuciła im obojgu ręce na szyje i nagle wszyscy troje zaczęli się ściskać. Sara płakała że szczęścia. Spojrzała przez łzy na Jake'a i w ułamku sekundy, świat wydał się jej piękny.

- Gdzieś ty była, skarbie? Co się stało? - dopytywał się Jake.

- Próbowałam znaleźć pannę Sarę i się zgubiłam.

- Szukamy cię i szukamy, Nie słyszałaś, że cię wołamy? Gdzie byłaś?

- Usłyszałam, że jacyś panowie mnie wołają. Przestraszyłam się, bo wiem, że nie wolno rozmawiać z obcymi, no i się schowałam. - Uśmiechnęła się promiennie do Sary. - Ale głosik panny Sary znam, więc wyszłam.

- Chwalić Boga! - Jake z wdzięcznością spojrzał na Sarę. - Dobrze, że...

- Bardzo przepraszam, panie Masters - przerwał mu tubalny głos. Sara odwróciła głowę i zobaczyła brzuchatego policjanta, który z notesem w ręku stał grzecznie za nimi. - Będzie pan

zapewne chciał jechać z dzieckiem jak najszybciej do domu, wróćmy więc może na momencik do przedszkola. Spiszemy protokół i będziecie państwo wolni.

- Oczywiście. - Jake wyprostował się i wyciągnął ręce do Nikki.

- Chcę na rączki do panny Sary - kategorycznie sprzeciwiła się dziewczynka.

Sara z wahaniem popatrzyła na Jake'a. Poniosłaby małą z rozkoszą, ale nie była pewna jego reakcji. Tymczasem najzwyczajniej kiwnął głową.

- Bardzo proszę.

Pochyliła się więc z tkliwością i zaniosła Nikki do samochodu. W przedszkolu powitały ich okrzyki radości Mary i towarzyszącej jej Deb. Dwadzieścia minut później policjant zamknął swój notes.

- Zrobione. Cieszę się, panie Masters, że odnalazł pan córkę. A ty, panienko - nachylił się nad zajętą układanką Nikki - nigdzie już nigdy nie uciekaj. Obiecasz mi to?

- Obiecuję. Po co mam zresztą uciekać? Panna Sara jest z nami, więc nie muszę jej szukać.

Jake j Sara wymienili zażenowane spojrzenia.

- Pora jechać do domu, trzpiocie. - Jake podniósł się z krzesła.

- Panna Sara jedzie z nami? - zapytała czujnie Nikki.

- Chciałbym.

Deb zerknęła znacząco na Mary.

- Chodź, dziecinko. Musimy dać pannie Sarze i twojemu tacie chwilkę prywatności.

- A co to jest prywatność?

- Zaraz ci wyjaśnię. Chodź szybciutko.

W pomieszczeniu zrobiło się nagle zbyt cicho i ciasno. Jake przełknął ślinę.

- Chciałbym, żebyś pojechała do nas na kolację. Musimy porozmawiać.

- Nie ma o czym. - Drżącą ręką zawinęła kosmyk za ucho. - A poza tym nie chcę robić Nikki nadziei na coś, co nigdy się nie stanie.

I sobie po raz kolejny też, pomyślała prędko. To ponad moje siły patrzeć na ciebie i na nią, ze świadomością, że nie będę nigdy częścią waszego życia.

Obserwował ją z udręką w oczach.

- Może jednak coś wymyślimy?

Zacisnęła dłonie tak mocno, że poczuła wbijające się paznokcie.

- Nie wydaje mi się to możliwe, Jake. Za bardzo się różnimy. Rozmowa niczego tu nie zmieni.

Popatrzyli na siebie, mocując się wzrokiem. Jake'owi płonęły oczy. Było w nich napięcie i chaos uczuć. Zaraz mnie dotknie, pomyślała i gdyby to zrobił, uległaby. Poszłaby za nim wszędzie, zgodziłaby się na wszystko. Aż do bólu pragnęła, żeby się zbliżył.

- No to cóż, idę - powiedział twardym, zmienionym głosem.

Odwróciła głowę, żeby nie spostrzegł jej łez. Usłyszała, jak drzwi zamykają się za nim, a potem tylko głosy Deb i Mary, warkot silnika samochodu i pisk opon na żwirze. Gorące łzy popłynęły jej po policzkach. Gdy znowu skrzypnęły drzwi i weszła Deb, z wściekłością otarła je wierzchem dłoni.

- Chyba też już pojadę - powiedziała niewyraźnie. - Cieszę się, że tak to się skończyło.

Deb odprowadziła ją do wyjścia zmartwiona.

- Sara, kochanie, czemu nie pojechałaś z Jakiem? Tb, co się stało, naprawdę nim wstrząsnęło. Nikki powiedziała mi, że chciałaby, żebyś została jej mamą, ale tatą nie myśli się żenić. Może teraz, kiedy uświadomił sobie, jak bardzo Nikki cię kocha
i potrzebuje, zmieni zdanie na temat małżeństwa.

Sara wbiła wzrok w swoje tenisówki.

- Nie o to chodzi, Deb.

- A o co?

- Małżeństwo dla wygody czy też z konieczności, to nie małżeństwo. Chcę żyć tak jak ty i Harry - w miłości. Jake powiedział mi, że powinnam znaleźć sobie kogoś, kto pokocha mnie całym sercem, i ma rację. Serce za serce. Nic mniej... A jeśli chodzi o niego samego, to nie wiem, czy w ogóle potrafi pokochać. Czasem wydaje mi się, że serce zjadła mu gorycz... - Otarła niecierpliwie łzę, która znowu potoczyła się po policzku.

Deb objęła ją po matczynemu.

- Wiesz co? - zaproponowała. - Pojedźmy do mnie. Nie powinnaś być dzisiaj sama,

- Muszę się zacząć przyzwyczajać - odparła gorzko. - Najlepiej od razu.

Uścisnęła Deb i wyszła. Jechała swoim marnym samochodzikiem, przeczuwając przyszłość - szarą jak ten zmierzch, w którym właśnie pogrążał się świat.

Jake ściągnął wodze Dzikuna i popatrzył na rozgwieżdżone niebo. Dzisiejszego wieczora osiodłał swego konia i dosiadł go po raz pierwszy od wypadku. Jazda na koniu zawsze go odprężała, a dziś potrzebował tego szczególnie. Od chwili gdy do

wiedział się o zaginięciu Nikki, był kłębkiem nerwów. Nikki.... Spała teraz pod opieką pani Worth, ale usypianie zajęło prawie dwie godziny. Istna mordęga... Na przemian z panią Worth czytali jej, nawet śpiewali, ale z płaczem odrzucała wszystkie ich starania. Chciała jedynie słuchać kasety z bajką Sary.

Wcześniej tego wieczoru pani Worth, kobieta dobra i nadzwyczaj cierpliwa, zagadnęła go na korytarzu.

- Jeśli wolno mi coś doradzić, proszę pana, to powiem wprost. Myślę, że powinien pan ściągnąć pannę Anderson na stałe. Dobrze mi tutaj, ale Nikki jest zupełnie załamana. To nienaturalne, żeby dziecko w jej wieku tyle płakało i marudziło.

Racja, myślał ponuro, wsuwając nogę w strzemię. Nienaturalne i zapewne niezdrowe. Dzisiejsze wydarzenia wskazywały na to, że sytuacja jest poważna; Sądził, że przywiązanie Nikki do Sary osłabnie, gdy przestaną się widywać codziennie, ale stało się odwrotnie. Nikki po prostu usychała z tęsknoty, a działo się tak wyłącznie z jego winy.

Pragnął uchronić swoje dziecko przed tego rodzaju cierpieniem, ale jednocześnie sam stracił panowanie nad rozwojem sytuacji. Pozwolił na to, żeby Sara zadomowiła się w ich życiu - przebywała z nimi nazbyt długo, nazbyt blisko, wkładając w. opiekę nad nimi całą swoją duszę.

Opierając się w siodle, odnalazł na ciemnym niebie Wielki Wóz, zamyślił się, a potem zawrócił konia i bodąc mu boki obcasami, zmusił do truchtu.

Kiedyż to popełnił w kontakcie z nią największy błąd? Czy tamtej nocy, gdy chciał jej pomóc zrozumieć, że jest piękna, a skończyło się na dwuznacznej scenie przed lustrem? Nie. Szalał za nią, jeszcze zanim do tego doszło. Może wtedy, gdy po raz pierwszy ją pocałował? Też nie. To coś, uświadomił sobie

nagle, stało się już na samym początku, kiedy otworzył oczy po wypadku na polu... Nie trzeba było wtedy w ogóle siodłać Dzikuna i wybierać się na popołudniową przejażdżkę. Gdyby tego nie zrobił, nie zdarzyłby się wypadek, Sara nie przyjechałaby go szukać, a teraz Nikki nie cierpiałaby tak bardzo.

Mimo koszmarnego nastroju uzmysłowił sobie absurd takiego rozumowania. Nad pewnymi wydarzeniami nie można zapanować. To tak, jakby próbować wstrzymać konie pokąsane przez węże. Można natomiast trzymać w cuglach uczucia.

Czy aby na pewno to potrafił?

Ściągnął wodze, gwałtownie wstrzymując konia. Zawsze mu się wydawało, że związek między dwojgiem ludzi jest kwestią Wyboru, ale nagle zabrakło mu tej pewności. Może to nie była taka sobie zwykła znajomość, lecz miłość? I może nie była to kwestia wyboru? Może jest tak, jak mówiła Sara - może to przychodzi samo i po prostu jest?

Nie, to niemożliwe, nie mogłem się zakochać, myślał rozgorączkowany. Uciekał przed miłością, zapierał się ze wszystkich sił, bo życie pokazało mu już, jak karze za nieudany związek. Karą była samotność, rozpacz, poczucie przegranej, cierpienie. Zapłacił za nieszczęśliwe małżeństwa ojca, potem za swoje- własne. Cena była zbyt wysoka, żeby ryzykować coś podobnego jeszcze raz. A przecież, myślał ze smutkiem, już ją płacił. Płaciła również Nikki.

Do diaska! - mruknął i westchnął ciężko. Należało spojrzeć prawdzie w oczy. A prawda była taka, że wbrew sobie zakochał się w Sarze, zaangażował się po same uszy. Czym się to miało skończyć? Kobiecie pokroju Sary mógł zaproponować jedynie małżeństwo, a nie chciał się żenić, wiedząc, że ma w tej dziedzinie życia głęboki uraz. Z doświadczenia znał jedynie zacho-

wania, których nie powinno być w małżeństwie. Nie miał pojęcia, jak dwóje ludzi buduje szczęśliwy związek. Czy komuś, kto jak on nie miał nigdy żadnego dobrego przykładu, mogło się to udać? Nie wiedział tego, czuł jedynie, że wiązałoby się to z olbrzymim ryzykiem.

Wzrok Jake'a spoczął na ciemnej linii drzew za pastwiskiem. Ryzyko... Podejmował je tyle razy… Inaczej nie byłby ranczerem. Pogoda, ceny zbytu, stan zdrowia bydła - wszystko to zmieniało się, często nagle, bez jego udziału, wpływu, możliwości działania. Zmienną koniunkturę, powodzenie i niepowodzenia w interesach, przyjmował jak coś oczywistego i naturalnego zarazem. Każdą susza musiała się przecież kiedyś skończyć, po złym sezonie przychodził lepszy, a z kłopotów i burz wypływało się ostatecznie na spokojne wody. Zawsze widział wszystko w dłuższej perspektywie, zakładając, że jeśli dołoży starań i pracy, to w końcu sprawy ułożą się pomyślnie.

Małżeństwo jednak było czymś zupełnie innym. A może nie? Może umiałby zastosować w nim z dobrym skutkiem te same zasady? Było ryzykiem, to prawda, ale ryzykowanie nie zawsze przecież przynosiło straty. Z rosnącym podnieceniem przypominał sobie okresy wymarzonej wprost pogody, zmiany koniunktury i inne szanse, które najzupełniej nieoczekiwanie pojawiały się przed nim. Gdzie by teraz był, gdyby siedział wtedy z założonymi rękami? Może więc, mimo wszystko, W jego życiu było miejsce również na miłość? Może nie był skazany na przegraną, na powtórzenie błędów ojca. Może czegoś jednak się nauczył. Może potrafiłby dać komuś szczęście i przeżyć życie w miłości.

Zauważył nagle cień przelatującej sowy. Odetchnął rześkim, chłodnym powietrzem nocy i poczuł się raźniej, mocniej. Jego

myśli poszybowały odważniej. Sarę różniło od Clarissy wszystko, była też dla niego kimś zupełnie innym. Pragnął jej fizycznie, owszem, bardzo, ale też kochał ją za milion innych rzeczy - za charakter, siłę ducha, za ciepło i dobre, życzliwe ludziom serce. Skoro więc jego Uczucia miały teraz zupełnie inną barwę, to czy nie pozwalało to wierzyć, że i małżeństwo z nią byłoby inne? Zresztą, nie tylko dlatego, że była taka, a nie inna. Ważne również, jaki w jej obecności stawał się on. Na pewno lepszy, wewnętrznie zbudowany... Poza tym - nie miał hic do stracenia, a zyskać mógł wszystko: Oboje-i on i Nikki - tak bardzo ją pokochali, że życie bez niej stało się udręką. Kiedy tak na to patrzeć, ryzyko nie wydawało się wcale takie duże.

Zawrócił Dzikuna w stronę stajni, wypuścił cugle z rąk i pozwolił się nieść. Koń ruszył cwałem. Jake położył mu się na szyi. Czuł na twarzy wiatr, a w piersi łomoczące serce. Waliło mocno jak podkowy na twardym, zapylonym trakcie. Pragnął wierzyć, że Sara zechce podjąć to ryzyko razem z: nim, lecz obawiał się, że zraził ją do siebie na zawsze. Ze względu na Nikki, ale i dla własnego dobra, musiał ją przekonać. Wypełniony nagłym poczuciem sensu i celu swojej misji, zmusił konia do galopu.

Sara skuliła się na kanapie przed włączonym telewizorem, ale zamiast starej, czarno-białej jeszcze, komedii na wideo, przed jej oczami przesuwały się klatki zupełnie innego filmu. Jego bohaterem był wysoki, ogorzały kowboj i jasnowłosa dziewczynka. O niczym innym nie była w stanie myśleć; nic więcej jej nie obchodziło.

Na stoliczku do kawy stał talerz z ulubioną kartoflanką. Nawet jej nie ruszyła^ Nie miała apetytu ani energii, żeby wyjąć

z zamrażarki wspaniałe lody. Odrobiny radości nie dało jej nawet przebranie się w najładniejszą, jedwabną koszulę nocną ani francuskie perfumy.

Zatelefonowała do niej Deb, namawiając, żeby wybrała się z nią i jej mężem na kolację, ale wolała być sama. Nie nadawała się do towarzystwa. Dzisiejszy strach o Nikki i świadomość, że to ukochane dzieciątko uciekło po to, żeby być razem z nią, zupełnie ją rozstroiły. Bladły przy tym nawet wspomnienia związane z Jakiem, chociaż kiedy leżeli tam, nad jeziorem, czuła się tak, jakby rozwarło się niebo i odsłoniło przed nią kawałek raju. Przez moment miała wrażenie, że jej marzenie się urzeczywistnia. Było to jednak tylko okrutne złudzenie - iluzoryczny błysk czegoś, czego pragnęła całą duszą, a co nie było jej przeznaczone. Poznała smak raju wystarczająco dobrze, by w niczym go już nigdy nie odnaleźć. Taki to już los, myślała markotnie. Podwinęła pod siebie nogi i okryła się kocem. Po pewnym czasie przysnęła chyba, bo dzwonek, który znienacka przywrócił ją do rzeczywistości, zabrzmiał jakoś mało ostro. W pierwszej chwili wzięła go za dźwięk z filmu, rozległ się jednak ponownie, Deb! - pomyślała, zwlekając się ż kanapy. Pewnie podjechała, żeby sprawdzić, jak się czuję.

Jak zwykle przed otwarciem drzwi, przyłożyła oko do dziurki od klucza. Jake! Znieruchomiała z ręką na klamce, czując, że robi się jej słabo.

- Sara? Jesteś?

Zesztywniałymi palcami odciągnęła zasuwę.

- Jest późno, wiem, ale musiałem się z tobą zobaczyć - powiedział i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

- Nikki znowu nie może usnąć?

- Trochę to trwało, ale w końcu się utuliła... Proszę, to dla

ciebie. - Wyciągnął w jej stronę zielone gałązki nie rozwiniętych jeszcze chryzantem. - To z waszego ogródka. Nie zakwitły jeszcze, ale włóż je do wody i może się rozwiną.

Nie miała serca wyjaśniać, że chryzantemki kwitną dopiero za miesiąc, a z tych kilku pierwszych pączków nie będzie nic. Jake widział w nich jednak kwiaty, tak jak kiedyś w niej dopatrzył się urody i piękna. Zaufała mu...

- Kiedy przyjechałeś do mnie ubiegłym razem, Nikki męczyła cię o moją bajkę - powiedziała, żeby wypełnić nieznośną ciszę, - Czy... czy kaseta się zniszczyła?

Podszedł do niej i położył ręce na jej ramionach.

- Tym razem - powiedział, patrząc jej w oczy - nie tylko Nikki potrzebuje bajki. Ja też. Zwłaszcza zaś wiary w jej szczęśliwe zakończenie. Nie o bajkę tu zresztą chodzi, ale o życie. Chcę, żeby spełniły się słowa: „I żyli długo i szczęśliwie".

Z pokoju dochodziły dźwięki filmu, nadając tej chwili jakiś zupełnie namacalny wymiar.

- Nie... nie rozumiem - wydusiła z trudem Sara. Nie wierzyła swoim uszom. Gdyby się pomyliła, gdyby w słowach Jake'a odczytała intencje, których wcale nie było, gdyby wskrzesiła w sobie nadzieje tylko po to, żeby za chwilę rozsypały się w proch, chybaby ją to zabiło.

Przesunął dłonie wzdłuż jej rąk.

- Kocham cię, Saro.

Radość wybuchła w niej jak fajerwerki na 4 lipca. Podniosła oczy, nie znajdując słów.

- Walczyłem ze sobą, bo bałem się zaryzykować, ale życie bez ciebie to nie życie. Kocham cię, potrzebuję... Wróć.

- Jake...

- Nigdy nie widziałem dobrego małżeństwa, nie było go

w moim najbliższym otoczeniu... ale chcę je zbudować z tobą, Nie mam doświadczenia, nie miałem dobrych przykładów... Obiecuję ci jednak, że... czego nie umiem, tego postaram się nauczyć... Zrobię wszystko, żebyś była szczęśliwa. Może przyjdą i gorsze chwile, ale przyrzekam ci, że zrobię, co w mojej mocy, żeby wszystko było jak należy. A ty... Powiedz, wyjdziesz za mnie? Podjęłabyś takie ryzyko?

Czy mogłaby w ogóle postąpić inaczej? Przecież to było coś, czego pragnęła najbardziej na świecie. Dawał jej szansę na życie w miłości. On, którego sam widok sprawiał, że przestawało bić jej serce. Człowiek, który zdjął z niej maskę szarości i odium brzyduli, który pozwolił jej przeistoczyć się w pięknego łabędzia, pokazał kolory, nauczył latać... Jak mogłaby nie podjąć takiej szansy?

- Tak, Jake. - Zarzuciła mu ręce na szyję, a potem ujęła jego twarz i przyciągnęła ją bliżej. - Tak, tak, tak...

Objął ją i gorąco pocałował, a kiedy upojona zamknęła oczy, mogłaby przysiąc, że widzi fajerwerki rozbłyskujące na ciemnym, nocnym niebie.